

Wies

tygodnik społeczno-literacki

Rok IX

Warszawa, dn. 13 VII. 1952 r.

Nr 28 (362)

BOGDAN CHOCIANOWICZ

PODLASIE LEŻY NAD BAŁTYKIEM



Fot. J. Czajkowski

I

STATEK, mimo bałowiowych nieczyni u mazurskiej gospodyni kształtów, zaczął się lekko kolebać. Białe, splecione brzozy dotarły teraz i na górny pokład. Od dziobu z piskiem rozbiegły się dziewczyny. Rozgadane jak stado kokoszek usadowiły się w pobliżu nas, susząc na wietrze zamoczone, szerokie spódnice. A bałtycki wiatr — figlarz unosił je do góry, odsłaniając wysoko młode, opalone nogi.

Palce Somli, poczerwiałe, grube i rogowate od pracy, chłopskie palce, jakimś pieszczotliwym ruchem dotknęły kłaczka piany, który osiadł mu na kłapie marynarki. Wyblakłe, niebieskie oczy spoglądały na rozładowany Zalew, potem w stronę, gdzie znikły już kaminy Huty i „Superfosfatu” a wreszcie znów na wodę i na rozradowane twarze dziewczyn.

— Młodość — mruknął — młodość...

I chcąc widocznie nawrócić do rozmowy, którą przerwały dwie latarnie „bramy południowej”, wytaczającego początek zalewowego szlaku żeglownego na Swinoujście, zaczął:

— Chciałoby się staremu, jak tym sikorkom, skakać z uciechy... Przecież... pierwszy raz na starość, na morze płynę... Ta-ak, na starość... Ho, ho, stary Somla, kto by to pomyślał! Tylko że skakać stały się gnaty nie pozwalają... A dziewczuchy skaczą, o! skaczą... Dla nich od wiośny życia wszystko: ziemia, morze i nauka...

Położył mi swoją ciężką rękę na ramieniu i dokończył ciepłym, poważnym głosem:

— Ty mnie, chłopcze, zrozumiesz... Cieszy się człowiek i żal mu jednocześnie... Ta wasza — inna młodość... I morze inne... morze, które dziś od naszych, podlaskich piaszczów o krok...

Statek miał właśnie drugą „bramę”. Morze było coraz bliżej, z każdą chwilą bliżej.

II

Morze o krok... Jakże dalecy byliśmy od niego, i Somla i ja, w latach mojego dzieciństwa. Pamiętam Podlasie tamtych czasów, pamiętam rodziną wieś Somli Zaboklik. Ród Somlów należał wtedy do najliczniejszych i najbardziej spolegliwych rodzin biedy w okolicy. Obok Plichów, Łuków, Szczurów i Bajków właśnie Somlowie najęśniej zaludniali ponure, wałace się, gładkie czworaki majątku niemieckiego obszarnika — Stencła. Na żniwa i wykopki, do pracy na „pańskie” pola stawiali się wszyscy Somlowie w komplecie. Z odległych o 3 kilometry Zaboklik nadciągali do Somlów — „dworów” — nieliczni Somlowie — „gospodarze”. Na „dorobek”. Dziedzic był rzadkim w okolicy łaskawcem, który przynajmniej sezonowo dawał zatrudnienie. W powiatowej miejscinie, szumnie tytułowanej stolicą Podlasia, w Siedlcach, typowym wytworze i okazie Polski B, nie miał czego szukać człowiek, którego ręce zbudowały przeludnienie wsi.

W majątku Stencła właśnie zarwaniem znajomości z Somlami i przemyśle z morzem. Kto wie, bardzo możliwe, że wtedy także i u Somlów narodziło się marzenie o Bałtyku: ujrzeć go z bliska, dotknąć jego wód.

Gdzieś w roku 1935, a może w 1936, w letni, wakacyjny wieczór, jeden z dworskich Somlów, zastępując chorego stangreta odwoził „państwo” na stację. Najmłodsza latorośl owego zastępcy stangreta, Bolek, był moim serdecznym kolegą. Z tego też tytułu często bywałem w dworskich stajniach, gdzie podziwiałem cudowne konie i pomagałem przyjacielowi czyścić błyszczące uprzęże.

Wieczór wyjazdu „państwa” był o tyle niecodzienny, że ojciec Boleka odczytując przez pilnie słuchających parobków i oczywiście, co ciekawszą dzieciarnię, opowiadał o tym, co zasłyszał z rozmów prowadzonych przez dziadziowską rodzinę w drodze do stacji.

— Najpierw młody pan wypytował dziadziaka jak się będą zabawiać w Warszawie i żeby tam dziecko niedługo, bo szkoda pogody. A potem to się długo sprzeczało czasem po naszymu a czasem w tym ich czorczym języku. Tymczasem dziadziak, że starsza pani robiła wymówki dziadziowi. Coś tam szwargotała, że wystarczy samo morze, że gdzieś tam w jakichś Kapotach czy Copotach jest droga i pieniędzy szkoda. A panienka to nic, tylko ciągle o kawalerach, o smarowidach na gębę i o tym, że nad tym morzem się opali jak cyganka...

Łowiliśmy z Bolekiem każde słowo. Wreszcie pociągnął on ojca za rękaw i zapytał: — Tato, a daleko do tego morza? A jakie ono? Dużo tam wody, więcej aniżeli w całym Liwcu?

Pamiętam, że ojcowiska odpowiedź nie zadowoliła ani Boleka ani mnie. Postanowiliśmy po wakacjach zasięgnąć ścisłych informacji u nauczyciela. Tymczasem długo jeszcze przysłuchiwałem się chłopskim, fantastycznym medytacjom o morzu, o marynarzach i okrętach, o krewnych i znajomych, którzy kiedyś wypłynęli na to morze za chlebem i ślad po nich zaginęli.

STANISŁAW CIEŚLAK

O UMOCNIE NIE SPOJNI PRZEZ HANDEL

DOSTAWY obowiązkowe — mówił na VII Plenum KC PZPR Prezydent Bierut — obejmują i będą obejmować również na przyszłość tylko część towarowej produkcji gospodarki chłopskiej, a w żadnym wypadku nie całą produkcję towarową. Pozostaną część swojej produkcji rolnicy może wymienić swobodnie na rynku w wolnej sprzedaży i nikt go nie będzie w tym kępował.

Sprawa ta jest dziś przedmiotem ogromnie ożywionej dyskusji na wsi i wśród terenowych działaczy gospodarczych, była ona również żywo i namiętnie dyskutowana w rozmowach na Krajowym Zjeździe Korespondentów Chłopskich.

I rzecz ciekawa, że pierwszym odruchem wielu mało i średniorolnych chłopów w tej sprawie była pewna obawa, wcale nie ukrywana, czy to nie oznacza wskrzeszenia dawnego kapitalistycznego rynku z jego gra cen, przy pomocy której kupiec prywatny i spekulanci ogalać chłopów pracującego z owoców jego pracy. A chodzi przecież o rzeczy niezbędne. Po odstawieniu obowiązkowych dostaw pozostaje wszak chłopu zwłaszcza mało i średniorolnemu co najmniej trzecia część towarowej produkcji zboża, co najmniej połowa towarowej produkcji mięsa, co najmniej dwie trzecie towarowej produkcji mleka, cała towarowa produkcja jaj, pasz, warzyw, owoców, „wełny” itp.

Choć te obawy są słonne i polegają na nieporozumieniu (nie ma przecież mowy o wskrzeszeniu dawnego kapitalistycznego rynku i spekulacji, czy o osłabieniu państwa w regulowaniu ceny i formy obrotu) jednak są one godne podkreślenia gdyż wymownie o ogromnych faktach świadczą o ogromnym przywiązaniu i zaufaniu pracującego chłopstwa do całej socjalistycznej gospodarki, a w tym i do socjalistycznego handlu. Bowiem nie jeden chłop który nieraz sarka (a często słusznie sarka) na jakieś nieporozumienie i braki w zaopatrzeniu wsi, który w wielu korespondencjach terenowych tak ostro nieraz krytykuje pracę GS-ów i PZGS-ów gdy usłyszał słowo „wolna sprzedaż nadwyżek” ułak się tego słowa.

I w gruncie rzeczy morze było dla tych ludzi czymś tak nierealnym, odległym i nieczystym, jak i dla nas, dzieci, mierzących wszelkie ilości wody skalą wysychających, podlaskich strug — rzeczek: Muchawki, Sekuli lub co najwyżej Liwca.

Ale od tego czasu i za mną i (jak wykazała historia) za Somlami ciągnęła jak mewa za statkiem wizja niedosiężnego morza.

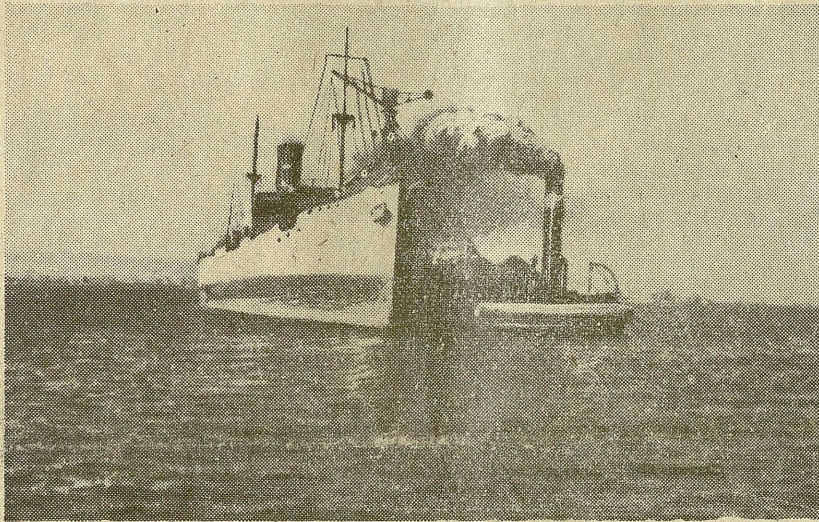
III

Przez wiele jeszcze lat marzenie o morzu było dla mnie i dla Boleka Smla dziecięcą fantazją, jakąś wielką, a niebezpieczną przygodą, o której mówiły słowa żarliwie na pamięć wykutego po wakacjach wiersza:

„Chcę zwać fale, zwyciężać burzę.

Przebywać mór przestrzeń słona. I trzymać zawsze wysoko w górze Bandę białoczerwona”

— jak piewała wygrzebany z pamięci fragment.



Fot. CAF

Dla seniorów somlowskiej rodziny marzenie to nie było skonkretyzowane nawet w tak mikroskopijnym wymiarze. Po prostu dla

tego, że niewielu z nich posiadało sztukę pisania i czytania. Mimo to wielu Somlów poszło w parę lat potem, we wrześniu, aby bronić skrawka niewidzianego morza. I wielu nie powróciło i nie ujrzało go na oczy.

A potem przyszły czasy podległości. Nauczyciela, który nauczył nas wierszyka o morzu, rozstrzelano na śledzieckim rynku, Soml ze Starej Wsi powieszono za przechowywanie żydowskiej rodziny, a wszelkie marzenia trzeba było zawiesić na kółku. Bałtyk odpynął dla nas gdzieś między gwiazdami konstelacje.

Aż dopiero zrobił się bliższy w huku „katiusz” pewnej jesieni, jesieni wyzwolenia ziemi podlaskiej. I stał się widzialny gołym okiem wiosną następnego roku.

Tej wiosny, a raczej już na początku lata 1945 roku, Jan i Stanisław Somlowie pociągnęli szlakiem „na Zachód”, nad morze. Osiedli na dostatnich gospodarstwach w Charnowie, w powiecie

tarowego gospodarstwa w Zaboklikach. Bracia oddali mu swoje kawałki ziemi. A w ogóle zmieniać się zaczęła dola somlowego rodu. Śmierdzące stęchłą czworaki rozwalili robotnicy kolejowi, na miejscu stencłowskich latyfundiów powstała szkoła rolnicza z doświadczalnymi polami i zaczęto budowę fabryki przetworów mlecznych, werbowano do roboty na warszawskie budowy. W jakiś niecały rok po wyjeździe na nowe ziemie pierwszych Somlów zaczęli opuszczać podlaskie, gęste od ludzi płacze następni familijanci: byli parobek — Antek Somla osiedlił się na Wybrzeżu i zaczął pracować w porcie gdańskim, przy przeładunku; wkrótce po nim Bolek ziszcł dziecięce pragnienia — został jako ochotnik przyjeżdżając do Marynarki Wojennej.

Podlasie przybliżyło się do morza. Do Zaboklik, Starej Wsi, Mokobód, Wiśniewa, wszędzie tam, stąd wyruszyli, aby odetchnąć pełną pierś przedstawicieli starodawnych, ładowych, chłopskich i parobczanskich rodów, przychodzą już od lat listy. I tak, jak z każdym nowym listem przybywało chłopskiemu piśmu ortografii i gramatyki, tak rozjaśniały się w głowach pozostałych na starej ziemi skomplikowane ongiś zagadnienia.

taki chodzą „wolny” rynek, który nawet urodzaj potrafił zamienić na klęskę.

Taki rynek za swą „wolną”, „swobodną” gra cen już nigdy w Polsce nie powróci, nie ma mowy o osłabieniu regulującej roli państwa na rynku.

Bo „o” czego prowadzi osłabienie regulującej roli państwa w dziedzinie wymiany towarowej? Do wzmocnienia elementów żywiołowości, anarchii wolnorynkowej, spekulacji, czyli do wzmocnienia elementów kapitalistycznych.

A sprawa stoi tak, że „spójnia” gospodarcza między klasą robotniczą i chłopstwem, będąca podstawą spójni politycznej tychże, podstawą sojuszu robotniczo-chłopskiego — może się wzmocnić i rozwinąć tylko w warunkach ograniczenia elementów kapitalistycznych, a natomiast narazona jest na niebezpieczeństwo w warunkach odradzania się i wzmocnienia tych elementów. (Bierut).

Wolną więc sprzedaż nadwyżek towarowych, pozostałych chłopu po wykonaniu obowiązków przy-musowych dostaw, organizuje się po to, aby wzmocnić, a nie po to by osłabić spójnię między miastem a wsią, po to, aby osłabić i ograniczyć, a nie umocnić elementy kapitalistyczne: kulaków i spekulantów.

Dlaczego trzeba ją wprowadzić? Jaka jest obecnie sytuacja w rolnictwie?

Rolnictwo nasze daje dziś krajową globalną produkcję roku 1946 (pierwszego po zakończeniu działań wojennych) gdy ogromnej większości narodu — przypomnijmy to sobie — brakowało chleba, nie mówiąc już o mięsie czy tłuszczu i gdyby nie wielka pomoc żywnościowa ZSRR gład panowałaby w Polsce. W porównaniu do globalnej produkcji przedwojennej produkcja rolna w roku 1951 (która dziś zjadamy) jest mniej więcej równa.

Czy to znaczy, że towarowa (to znaczy przeznaczona na sprzedaż) produkcja rolna jest dziś wyższa niż przed wojną. Nie, tego powiedzieć nie można. Bo przed wojną podaż rynkowych nadwyżek wnoszona na rynek przez ogromną większość biedoty i znaczną część



Wycieczka chłopów z pow. siedleckiego.

tarowego gospodarstwa w Zaboklikach. Bracia oddali mu swoje kawałki ziemi.

A w ogóle zmieniać się zaczęła dola somlowego rodu. Śmierdzące stęchłą czworaki rozwalili robotnicy kolejowi, na miejscu stencłowskich latyfundiów powstała szkoła rolnicza z doświadczalnymi polami i zaczęto budowę fabryki przetworów mlecznych, werbowano do roboty na warszawskie budowy. W jakiś niecały rok po wyjeździe na nowe ziemie pierwszych Somlów zaczęli opuszczać podlaskie, gęste od ludzi płacze następni familijanci: byli parobek — Antek Somla osiedlił się na Wybrzeżu i zaczął pracować w porcie gdańskim, przy przeładunku; wkrótce po nim Bolek ziszcł dziecięce pragnienia — został jako ochotnik przyjeżdżając do Marynarki Wojennej.

Podlasie przybliżyło się do morza. Do Zaboklik, Starej Wsi, Mokobód, Wiśniewa, wszędzie tam, stąd wyruszyli, aby odetchnąć pełną pierś przedstawicieli starodawnych, ładowych, chłopskich i parobczanskich rodów, przychodzą już od lat listy. I tak, jak z każdym nowym listem przybywało chłopskiemu piśmu ortografii i gramatyki, tak rozjaśniały się w głowach pozostałych na starej ziemi skomplikowane ongiś zagadnienia.

— Tam... morze... i Baza — powiedział wreszcie.

— Siadajcie, Somla, to jeszcze kawałek drogi — zwrócił mu uwagę.

— Kawałek drogi, powiadasz... Ano, siadajmy...

Usiedliśmy na brzozy ławeczce. Somla czas jakiś myślał widać głęboko, bo czło mo się marszczyło w poziomie i pionowo, a niedopalony papieros przykleił się do wargi. Wreszcie zagadnął: — A ty... widziałeś Baze?

Przytaknąłem. Wtedy zapytał: — I wszystko tam jest tak jak pisałeś? I budowle wielkie, i trawlerzy duże, i rybę przywożą aż spod bieguny? I wszystko tak... naukowo?

Chciał widocznie przez te pytania pogłębić swoją pewność, bo nie czekając na odpowiedź zaczął mówić szybko, głośno, prawie gwałtownie:

— Byłem przez te dwa dni w trzech spółdzielniach. W jednej starszej, w Bynowie, potem w Marwicach i jeszcze gdzieś... w Dyniach zdaje mi się...

— W Baniach — poprawiłem.

— Tak — zgodził się — w Baniach. Otóż i w tej starej spółdzielni, i w tych dwóch młodszych od razu człowiek widzi naukę. Na polu — nauka: maszyny, co to i zora, i zasieja, i opieka, i zbiora. W domu — nauka: elektryczne światło, radio, rolnicze książki. A jak się rządzą? Naukowo, z wyliczeniem na papierze... I piony zbierają, aż oczy od patrzenia bolą...

Zamilkł. Przed nami widać już było koniec kanału i zarysy świnnoujskiego portu. Somla popatrzył na coraz wyraźniejsze, maszynowe zespoły portowych urządzeń i lekko zażenowanym głosem, jakby chcąc się wytłumaczyć ze swojego chwilowego wybuchu, dorzucił: — Tak, tak, ta nauka mnie boli... Bo widział, ja już od dwóch lat, kiedy bracia w Charnowie spółdzielnię założyli, pracując, żeby i u nas, w Zaboklikach... naukowo... Ale ty wiesz jak w Zaboklikach ciężko. Tam, jak siódmy pot w te płacze, pańskie tumanienie wsiątko w ludzi. Nie rozumieją jeszcze, że na ziemi, jak na morzu, lepiej i łatwiej jest razem, wspólnie...

Statek płynął a świnnoujski port z wyniosłymi budowlami Bazy, owocem wspólnego trudu robotników, owocem zwycięskiej nauki, rósł nam w oczach. I morze. Morze, na którym „lepiej jest wspólnie”.

Dopiero w pięciu gromadach siedleckiego powiatu zrozumiano mądrość wspólnej pracy. Somla chce, żeby jego Zaboklik, te 60 rodzin na 300 ha ziemi, były szóstym zespołem w powiecie. Teraz chyba pójdzie mu to łatwiej. Przecież oprócz niego zwiędziało sześćdziesiąt pięć z Zaboklickich rodzin: Plichów, Łuków, Szczurów, Bajków i Niedziółków, sześciu ich razów poznało dorobek szczecińskiej ziemi.

Statek płynął a świnnoujski port z wyniosłymi budowlami Bazy, owocem wspólnego trudu robotników, owocem zwycięskiej nauki, rósł nam w oczach. I morze. Morze, na którym „lepiej jest wspólnie”.

Dopiero w pięciu gromadach siedleckiego powiatu zrozumiano mądrość wspólnej pracy. Somla chce, żeby jego Zaboklik, te 60 rodzin na 300 ha ziemi, były szóstym zespołem w powiecie. Teraz chyba pójdzie mu to łatwiej. Przecież oprócz niego zwiędziało sześćdziesiąt pięć z Zaboklickich rodzin: Plichów, Łuków, Szczurów, Bajków i Niedziółków, sześciu ich razów poznało dorobek szczecińskiej ziemi.

Bogdan Chocianowicz

(dokończenie na str. 6-ej)

ANDRZEJ SKIBA

ZBIGNIEW ZALEWSKI

Czarne i białe złoto

O D wschodnich wybrzeży Atlantyku po Zatokę Perską i Ocean Indyjski ciągnie się tysiącami mil długi pas ziemi żyznej, skapanej w podzwrotnikowym słońcu, zdolnej do trzykrotnych w roku urodzajów i kryjącej w swym wnętrzu olbrzymie bogactwa kopalniane. Mimo to ludność, bez reszty niemal rolnicza, żyje w skrajnej nędzy, próżno walczyć ze słońcem, które powinno być źródłem siły, próżno walczyć z pustynią, której ruchome piaski niosą śmierć, chociaż mogłyby rodzić życie. Ludność ugina się w pracy nad siłą i — nie dla siebie. Przekleństwem jest dla niej to, co garści obcych zapewnia milionowe zyski — czarne i białe złoto.

Czarne złoto — nafta — tryska na Srodkowym Wschodzie, zwłascza w Iraku i Iranie. Egipt jest dostawcą najwyższych gatunków bawełny — białego złota. Dalej na zachód, na terenach Tunisu, Algieru i Maroka ciągną się złoża fosfatu, magnezytu i innych cennych surowców strategicznych. Imperialiści angielscy, francuscy i amerykańscy od dawna już toczą ze sobą zaciekłe walki o władztwo nad tym obszarem, o wpływy na wąską i wąską warstwę rządzącą, miejscowych feudałów, poddawionych sił własnych i bazy społecznej i czerpiących swe siły z oparcia o obce bagno i czołgi.

W jednym tylko walczącej rywalizacji — pełnej nienawiści i niechęci — we wspólnym celu: wzbogacenia, w dążeniu, aby analfabetyzm nie spadł poniżej złotowiszczy cyfry 80 proc., w niedopuszczeniu do uprzemysłowienia gniebionych krajów. Tu i ówdzie czmyli się wyjątek — gdy chodzi o przemysł zbrojeniowy. Tak powstała niedawno w Egipcie filia zakładów Forda. Pozorne te wyjątki są jedynym jeszcze potwierdzeniem bezwzględnie stosowanej zasady: rynek zbytu imperialistów importuje wszystko, nawet benzynę z własnej ropy naftowej.

Rywalizacja wielkich monopolów wzmogła się po drugiej wojnie światowej, gdy kapitał amerykański, korzystając z baz wojennych zagarniętych pod pretekstem walki z faszyzmem, przystąpił do wypierania broniących się zaciekłe koncernów francuskich, a zwłaszcza brytyjskich. Równocześnie zaś wzmógł się terror w stosunku do ludności. Albowiem „na Bliskim i na Srodkowym Wschodzie” — zgodnie ze słowami Piotra Nemni — II sesji Światowej Rady Pokoju — jak również w innych krajach Azji i Afryki zrywa się wichry niepodległości i wyzwolenia społecznego. Świat muzułmański jest w ruchu. Arabowie chcą być gospodarzami w sobie. Nie godzą się na wymianę dawnego włościwa angielskiego, czy francuskiego na amerykańskie okowy, zamianę „protektoratu” tamtych na „opiekę” nowych panów. Od Iranu po Egipt i Tunis chcą żyć jako ludzie wolni w warunkach pokoju.

Trzy czwarte ludności Egiptu stanowią chłopci bezrolni i małorolni, których stan posiadania wyraża się przeciętną 0,12 ha na rodzinę. Aby wyżyć, biorą w dzierżawę ziemię obszarową, ale mogą zachować tylko 1/4, zbiorów dla siebie. Resztę zabiera właściciel. Nic dziwnego, że nieuprzemysłowiony Egipt liczy ponad milion bezrobotnych, że najwyższe płace w przemyśle nie dostrzegają nawet minimum egzystencji, a śmiertelność, po Indiach, jest najwyższa w świecie. I takie same stosunki panują we wszystkich krajach arabskich.

Ala w Egipcie związki zawodowe liczą ponad 600.000 członków. A terror władz spotyka się z coraz większym oporem, rosną wpływy partii komunistycznej, a cały ruch narodowo-wyzwolenczy łączy coraz wyraźniej, coraz bardziej zdecydowanie swą sprawę ze sprawą pokoju, wiąże swą akcję z ruchem międzynarodowym proletariatu, nabiera cech internacjonalizmu, odcina się od nacjonalistycznej ideologii miejscowej burżuazji. Ruchy chłopiejskie mają jeszcze co prawda charakter żywiołowy, ale są już w progu ukształtowania się w formy zorganizowane. Nienawist do cudzoziemców koiar się z rosnącą świadomością klasową i rewolucyjną. I dzieje się tak we wszystkich krajach arabskich.

Imperializm szuka ocalenia na powołaniu do władzy coraz bardziej reakcyjnych czynników. Pośel USA w Egipcie spowodował ostatnio trzeci z kolei przewrót pałacowy w ciągu półtora, wynosząc do steru rządów niemal otwarcie faszyzującego Sirry-paszę. Przewrót będzie zapewne więcej, gdyż cały gmach panowania imperialistycznego wznosi się dziś na ruchach i prądkach rosnącego ucisku i przygotowań wojennych. „Kryzys rewolucyjny” — mówił Stalin jeszcze w roku 1934 — dojrzywać będzie tym prędzej, im bardziej burżuazja będzie zaplatywała się w swoich kombinacjach wojennych, im częściej będzie uciekała się do terrorystycznych metod walki z klasą robotniczą i pracującym chłopstwem.

Kryzys rewolucyjny dojrzeje w świecie arabskim. Nad czarnym i białym złotem wznosi się coraz wyżej czerwony sztandar wolności.

Andrzej Skiba

ZA DRUTAMI KOLCZASTYMI...

Maj, 1945 r.

NIE śpię już od pół godziny. W hotelu „Welfare” panuje jeszcze cisza nocna, lecz dobiegające krzyki z pobliskiego bazaru przypominają gościom, że dzień nowy trzeba przywitać pogodnym uśmiechem lub smutnym sporządzeniem bilansu doznań dnia poprzedniego. Ciępy wiatr niesie przez otwarte okno zapach słonych ryb, homarów i subtelny woń owocu mango. Orgia zapachów ożywia masę wspomnień z



wędrówek po mieście. Zapowiada i nęci nowymi doznaniem europejskich gości z hotelu „Welfare”. Oto mój sąsiad, otyły angielski kapitan statku „Britannica” wychyla swą do morsa podobną twarz i spotykamy się w oknach zaspanymi jeszcze oczyma.

— How are you? — krzyczy machając kosmatą łapą i rzuca we mnie cygarem tak niezręcznie, że przechodzący pod oknami hotelu sprzedawca mango, zostaje trafiony w nadstawioną rękę, w którą nasza posługująca, Saidka, zamierza włożyć mu kilka piastrow. Chłopak odsuwa koszyk wonnych owoców i z przynudzeniem szelmowskich oczów przypala cygaro. Naśladując gesty kapitana, pociesznie spływając po marynarsku, a potem krzyczy: „how do you do?” i zabierając koszyk z mango, znika w pobliskiej bramie.

Po kwadransie część gości spotyka się w holu, prowadzącym do restauracji. Wytworne kobiety otaczają smukłego lotnika Włocha, służącego w RAF-ie. „Ma” — czarne oczy, często powtarza „Madonna, signora”, wieczorami nuci arie z „Polawiaczy pereli”. Wonne omloty, sporządzone z francuska szybko znikają z białych usłanych serwetami stołów. Goście teraz selektują się wspaniałą turkacko-coffee. Roznosi ją smukły Turkańczyk w czystej jak śnieg sukni i czerwonym fezie.

JULIAN STAWIŃSKI

23 listopada 1939 r. Hitler zakomunikował generałom decyzję zagarnięcia Francji i powalenia na kolano Anglii w celu roziścignięcia hegemonii Niemiec na całą Zachodnią Europę. Tegoż dnia w New Yorku Thomas Lamont — ten sam, który w styczniu 1919 r. entuzjastycznie popierał zatwierdzenie przez Radę Ententy planu pochodu na Moskwę, dzieło znanego z Brzeźnia generała Hoffmanna — w obszernym przemówieniu kreślił zarysy ujętych później w plan Marshalla i Pakt Atlantyczny Stanów Zjednoczonych Europy, rządzonej przez USA, a spójnych wspólnym zadaniem walki ze Związkiem Radzieckim. Niemal równocześnie powstał w Londynie projekt konkurencyjny — Europejskiej Federacji Gospodarczej. Cel był ten sam, ale kierownictwo spoczywać miało w doświadczonego rękę W. Brytanii. Kłótne rodzinne są najporozumiej — wielkie monopolu nie mogły się dogadać.

W tydzień później wybuchła wojna między ZSRR a Finlandią. Sposobność zdawała się wymarzoną. Namiesznik Chrystusa w orędiu wigilijnym nawoływał ludzi dobrej woli, urodzenia i majątku do wzajemnego zapomnienia uraz i zgładzenia ich krwią i ciałem narodów odmawiających uznania dogmatu o świętym i nietykającym prawie wielkiej własności. Mowa orędownika faszyzmu wywołała żywy odgłos wśród akcjonariuszy świata — kapitalistycznego. Cichy współnik „cudu nad Wisłą”, dobytej z naftaliny gen. Weygand odezwał się z Bliskiego Wschodu i podtrzymując swą renomę cudotwórcy zapowiedział: „Przy pomocy niewielkich posiłków i paruset samolotów zajmę Kaukaz i wkroczę do Rosji jak w masło!”

Nie zdążył, nie doczekał się. Doczekali się natomiast ukroczenia hitlerowskich dywizji pancernych, które jak w masło wierzeli się w blindaże linii Maginota i sięgnęły do serca Francji. „Dziwna wojna” skończyła się wcale nie dziwną kapitulacją.

Okres wojny fińskiej wykorystali Waszyngton dla wystąpienia dwóch misji: owocem jednej było

Pozbawszy się towarzystwa kapitału „Britannica” wychodził na krzykiem rozżalony Kair. Saidka mijając mnie w holu przypomina, bym nie zapomnieli beretu z białym orłem. Od kilku już tygodni panują bowiem nagonki na anglosaskich żołnierzy. Polacy są jeszcze przez tubylców traktowani względnie. Arabowie, będąc dobrymi psychologami, spostrzegli protekcyjność do nas stosunek Anglików i dystans, jaki się zaczął wytworzać.

Ulicą Soliman Paszy idę w kierunku dzielnicy Babiluk. Wielkie, europejskie domy przechodzą stopniowo w brudne dwu i jednopiętrowe budynki. Zakazana dzielnica. Rozglądam się, czy nie widać gdzie zandamerii. Właśnie pancerne auto zbliża się do mojej strony, więc szybko wchodzę do arabskiej kawiarenki. Panuje w niej nieczym nie zmacona nuda przedpołudniowa. Chmary much wpadają wprost do gardła. Ludno tu będzie dopiero wieczorem, gdy robotnicy arabscy przyjdą przepalać swoje 5 piastrow, pozabawiając swe rodziny i tak już niedźwiedziej wieszki składającej się z bobu i kukurydzy. Nalóg palenia opium i haszyszku ogarnia pokaźną część biednej ludności arabskiej.

Na mój widok Arabowie unoszą głowy okrócone w szmaty turbanów.

Salem alejkum — witam ich ojczystym językiem. — Alejkum salem! — odpowiada mi jeden głos.

Reszta milczy i nie zwracając najmniejszej uwagi na białego orła, lśniącego na czarnym berecie, żuje przekleństwo pod adresem Anglików. Dopiero mój płynny arabski język powoduje bardziej znośną atmosferę.

— Ty jesteś bardziej mądry, niżli stu Anglików — szeptał do wschodnią przesadą chudy właściciel kawiarni — należy do nich mówić po arabsku, oni nie znoszą tego gulgotańskich białych sahībów.

Potem bierze za kółko jakiegoś żebraka i robi mi przebieg w pobliżu kontuaru, gdzie głośno szepczą mimozę zawzięcie obsiadły olbrzymie muchy. Zebrak jest ślepy i kuśtykając w stronę wyjścia potrąca nogi Arabów, wreszcie uśladawia się tuż przy wyjściu w prośającej pozie. Jego piskliwy głos nie milknie ani na chwilę, brzmia jak skarga, gorączka nad gwarem kawiarni.

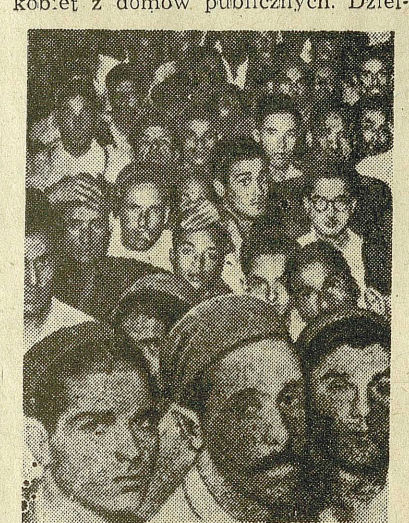
Tego dnia jest więcej niżli wczoraj młodych Arabów. Przyglądam się ich twarzom z wstępującym zaciekawieniem. Szczególnie przyglądam się uważnie 25-letniemu mężczyźnie ze „znacznikiem” studentkim, wpiętym w czerwony fez. Siedzi w otoczeniu młodych i starych robotników, mówiąc głośno spogląda często w małą stronę. Oczy jego nie są nienawistne, lecz raczej pełne ironii i pogardy, jaką żywią wszyscy mieszkańcy Kairu do białych przyjaciół angielskich okupantów. Opowiada o przeczyta-

nych ostatnio komunikatach, ogłaszających zajęcie Berlina. Zwolennicy Wielkiego Muftiego odchodzą z urażonymi minami. Reszta Arabów z zaskoczonym wyrazem twarzy nadaje otacza wokół mowę. Padają słowa: zwycięstwo, Czerwona Armia... Arabowie pochylają głowy, odsłaniając w uśmiechu białe zęby. I patrzą mi prosto w twarz, z błyskami ironii w oczach.

Atmosfera zwiększającej się wrogości każe mi opuścić kawiarnię.

W drzwiach hotelu spotkałem znowu Saidę. Różniła się od reszty dziewcząt służących w „Welfare”. Jej ręce pozabawione tatuaży, miast zdobnych bransolet, dzwigały dyskretnie nakryte książki. Nocami często świeciła się lampka w jej małym pokoiku i po każdej niedospanej nocy, czy, mimo dużego zmęczenia, nabierały dziwne go blasku i mocy. Nie trudno domyślić się treści czytanych książek. Jeśli arabska dziewczyna zadawała sobie tyle trudu, by nocami nauczyć się czytać, to na pewno nie po to, by upajać się romansami. Zresztą do romansów miałyby ona co dzień sporo okazji w hotelu „Welfare”.

Mój sąsiad, kapitan „Britannica”, często wracał hołem, pod rękę z pokojówką Albe, śliczną i głupią. Zresztą nie tylko Albe była gościem kapitana. „Mors” sprawował do swego pokoju całe orszaki kobiet z domów publicznych. Dzie-



nica Babiluk posiadała swoją ulicę „Rozkoszy”, jak każda dzielnica zakazana.

Saidka imponowała mi swoją, powiedzmy, politycznie zdecydowaną postawą. Odparowywała zawsze niemal beczelne spojrzenia naszych Anglików i coraz częściej wygłaszała takie zdania: „To wasza wina, to wy doprowadzacie do rozpusty — to wasza kultura!” Odpowiadano jej śmiechem, często nawet szturchnięciem.

Pewnego dnia, wracając z dzielnicy Zamalluk, dzielnicy zamożnych arabskich kupców i białych dyplomatów, wstąpiłem do fryzjera przy ulicy Ibrahim Paszy.

Młody fryzjer miał minę, jakby był przygotowany nie do golenia, a

raczej do zarżnięcia każdego klienta w angielskim uniformie. Zrobił jednak zapraszający ruch ręką i spytał zgola sympatycznym tonem: — Pan chce się golić, czy strzyć? — Och, jak piekielnie jestem zmęczony — taka gorączka! Czerwiec dochodził pełni. Młdy zapach egzotycznych akacji do reszty utrudniał oddech i normalne poruszanie się po mieście. Tragarze bawelny i trzcinny cukrowej drepcząc jeźdźcami szerokich ulic śródmieścia, raz po raz przepędzani klaksonami eleganckich limuzyn.

Tymczasem fryzjer ukończył golenie i począł gmerać przy zepsutym rozpylaczu wody kolonńskiej. Po kilku nieudanych manipulacjach niespodziewanie nabrał wprost wody w usta i parsknął ze śmiechem w moją namydloną twarz. Poczułem zapach rodynek i migdałów, rozpryskanych cząstkami po mej fizjonomii. Był to jaskrawy dowód lekceważenia. Podobne przygody przytrafiały się coraz częściej osobom w angielskich mundurach. Anglicy nie odwiedzali już lokali arabskich, spędzając całe dnie w lokalach N.A.F.F.I. Zresztą i tam docierali z ulicy wyzyska, a nierazko dochodził brzek tłuczonych szymb i krzyki zandamerii, usiłującej opłonić coraz większe tłumy manifestantów. Arabowie domagali się jak najrychlejszego wymarszu wojsk okupanta.

Pewnego dnia, z samego rana, usłyszałem w hotelu „Welfare” niesamowity krzyk i tumult. Wybiegłem do holu i ujrzałem rozwścieczonego właściciela „Welfare”. W jednej ręce trzymał w wężu spleciony ręcznik, a w drugiej kołnierza małego sprzątacza Holi Elkalajego.

Były chłopak ugryzł nagle żyłastą rękę swego oprawcy. Dopadłem do starego i uderzyłem go tak fatalnie, że potoczył się wraz z nim schodami aż na kamienną posadzkę dolnego holu. Właściciel dzwignął się z wielkim trudem i jak gdyby to on był sprawcą niespodziewanego upadku, począł mnie otrzepywać i przeproszać, zerkając na moje trzy paski lśniącej na naramiennikach:

— Effendii, o jak mi przykro — mówił, a raczej wykruszał rozcierając sobie otluczone łokcie. Potem zrobił taką minę, jakby sobie coś bardzo odległego przypomniał i rzekł:

— Aaa... wie pan, ten mały szczeniak ściga ze stołów serwety i sprzedaje je za beczkę na wodkę, a do tego, pijany wykrzykuje pod moją sypanią: — Ja jestem biały, ośle arabski! — Potem pokazuje mi zadek bym sprawdził, że w istocie ta czarna małpa jest biała!...

Sepleniac i chrapiac, wśród nieustannego przeproszania właściciela „Welfare” wycofał się tyłem w głąb holu.

W A T Y K A N

wydanie książki, drugiej — zawarcie trwałego ośiądł sojuszu. Zastępca sekretarza stanu, Sumner Welles przybył w lutym 1940 z tzw. misją pokojową. Przywiózł ze sobą plan wyłożony przez Lamont'a i starał się pozyskać dla niego kancelarie Londynu i Paryża, Rzymu i Berlina. „Zarówno w krajach demokracji Zachodu — pisał później Welles — jak i w Nowym Świecie widziano w hitleryzmie zapórę przeciw komunizmowi”. Ale każdy z imperializmów rościł sobie pretensję do hegemonii w bloku antyradzieckim i do porozumienia nie doszło. Sumner Welles goręco swoich doświadczeń ujął w formę głośnej w owym czasie książki „Time for decision” (Czas rozstrzygnięcia), w której ubolewał nad krótkowzrocznym egoizmem swych partnerów.

Znaczenie więcej szczęścia miał inny przedstawiciel Roosevelta, ośbisty wystawnik przy Watykanie, Myron Taylor. Ale też były przez morganowskiej USSteel udawał się nie do konkurenta, ale do mądrego doświadczonego współnika. Kuria rzymska od lat już znaczną część swych kapitałów trzymała w banku Morgana, który obracał nimi w sposób nie pozostawiający nic do życzenia. Polityka papieża zmieniła się również z biegiem czasu. Nie stawiła już teraz na strupieszale ustroje i klasy feudalne, dla których zachowała tylko tradycyjne sympatie. Papież sam z dawną stał się wielkim kapitalistą i pełną mądrością form wyżyłku i rządów. Wierni, jak robotnicy w fabryce, jak żołnierze w wojsku, stali za podstawę potęgi, która jednak istnieje nie dla nich, którzy warunkiem bytu jest utrzymanie ich w ryżach. I sojuszników szuka i dobiera Stolica Apostolska wśród potęg, które moc swoją zbudowały na tych samych metodach i założeniach. W wieku XX sprzymierzeniem jest rozdający koncesje gospodarce sultan muzułmański, szynioistyczny akcjonariusz koncernu Mitsubisi-Hirohito i udziałowiec monopolu niemieckiego, wyznawca storożemskiej Wallhalla; jak w XIX stuleciu był nim prawosławny samodziernia Wschod-

rosji, angielska władczyni kolonii i złota oraz jej protestanci, kulturkampowy wntuk. Okres gwałtownego i burzliwego rozwoju kapitalizmu to zarazem okres wyraźnej modernizacji struktury i metod „niewiedzialnego mocarstwa”. Watykan pierwszy wprowadził Führerprinzip, gdy na soborze w r. 1870 zlamal opór oligarchicznej większości wyższego kleru i narzucił dogmat nieomylności papiejskiej. Pierwszy też — w encyklice Leona XIII Rerum novarum — proklamował zasady korporacyjnego państwa faszystowskiego. W księdze głównej wikarego świętego Piotra, gdzie po stronie „Ma” figuruje liczba wiernych i skonsolidowana wartość wpływów religijnych, czyli surowca i narzędzi tej fabryki wiary — po stronie „Wi-nien” od dawna już przesłano wpisować herezyków i pogan, wpisując w ich miejsce listy proskrypcyjne wyznawców człowieka, rejestry postępowej myśli ludzkiej; od Kopernika i Giordana Bruno do Marksa i Lenina, od buntów chłopstwa niemieckiego po wielki przełom Października. Toteż nie ma nic naturalnego w aliansie Watykanu i Wall Street. To przymierze dwóch serc reakcji leżało w ich naturze, było koniecznością niejako fizyczną. Musiało nastąpić, jak kamień rzucony z góry musi opaść na ziemię.

W pertraktacjach prowadzonych pod czujną i życzliwą opieką Jego Świętobliwości, obok Taylora wziął udział arcybiskup Westminsteru Griffin i Joseph Mueller, przedstawiciel Niemieckiej Partii Katolickiej, w porozumieniu z Piussem XII popierającej teraz bez zastrzeżeń Hitlera. Wicerejszy kontrwywiad niemieckiego Gisevius zeznał później w Norymbdze, że zawarto wówczas „gentlemen agreement” — porozumienie przewidujące, póki na Zachodzie pod warunkiem wspólnej akcji przeciw ZSRR. Porozumienie pozostało na razie martwą literą z powodu zbyt wielkich apetytów wszystkich gentlemanów. Poza tym Hitler grał w banque, Anglia obawiała się Stanów Zjednoczonych, te ostatnie zaś chętnie wdziały obu rywali w potrzasku wzajemnych zmagani, co zapewnia-

ło imperializmowi USA olbrzymie zyski i automatycznie niemal wzrost przeuagi. Z faktów tych zdawał sobie znakomicie sprawę Watykan: z rokowań Taylora narodził się kartel ideologiczny wsparcia na autorytacie najbardziej miarodajnych czynników światowych i jeszcze bardziej miarodajnym autorytecie dolara. Skarbiec duchowy świętego Piotra pokrył się ze skarbem finansowym John Pierpont Morgana i innych patronów Wall-Street tworząc najbardziej jak dotąd trwałą i zgodnie działającą spółkę.

W niespełna trzy lata później Stalingrad rozstrzygnął o losach cywilizacji europejskiej. Pelen przeżarcia zjawiał się w Rzymie arcybiskup New Yorku Spellman. W rozmowie ze swym liturgicznym zwierzchnikiem a politycznym podwładnym stwierdził zupełną zgodność jego poglądów z dążeniami mocodawców amerykańskich, a nawet z treścią sugestii przybyłego pośpiesznie Ribbentropa. Zabrał za sobą list odręczny Ojca Świętego do Roosevelta zawierający propozycję pokoju: Hitler przeprowadził „radikalne zmiany w składzie rządu”, Mussolini zostanie usunięty przy utrzymaniu jednak zasad wstrojowych, we Francji rządy autorytaryjne będą zachowane, wolna ręka dla Niemiec na Wschodzie, zaniechanie wszelkich planów drugiego frontu.

Propozycja była neczą, lecz trudna do przyjęcia. Narody świata dawno już wydały wyrok na hitleryzm — obecnie oczekiwali jego wykonania. Ponadto Hitlerowi nadal nie można było dowierzać. A wreszcie wojna na zachodzie, nawet taka jaka się toczyła, wyczerpywała Anglię, zaś Stanom Zjednoczonym zapewniała zyski większe nawet niż się spodziewały; toteż nie kwapiły się do jej zakończenia. Skwapliwie natomiast odcroczone — wbrew uroczystym zobowiązaniom — utworzenie drugiego frontu. Uwiadomione o tym do wództwa Wehrmachtu przetrucilo na wschód wszystkie niemal trzymane nad Atlantyką dywizje, przygotowując ofensywę kurską, która zakończyła się ostateczną katastrofą armii faszystowskiej.

Julian Stawiński



W pokoju zastałem listonosza. Wręczył mi plik listów z Polski. Na widok pieczęci warszawskiej pocztę rozplakałem się jak dziecko.

Po wielokrotnym odczytaniu listów, skoczyłem do pokoju kapitana. W nozdrza uderzył mnie zapach cygar i brandy, zmieszanej z ordynarną whiską.

— Siadaj! — krzyknął do mnie tubalny głosem, a odrzucając ogłupiał Albe spowzwał naraz, poprawił kapitańskie epolety i opadł z godnością na głęboki fotel.

— Wyjdź, Albe — rozkazał dziewczęcy. Wybiegła dzwoniąc kilkoma piastrami w zaciśniętej dłoni.

Począłem mówić rozgorączkowanym głosem o mojej decyzji powrotu do kraju. Ze matka moja żyje. Ze tam czekają na mnie...

Wzrok jego ze zdumienia zmienił się we wściekłość: — Ente komunista — wykrzyknął, ni stąd ni zowąd po arabsku. — Ha! ha! ha! — wracać do Polski, kochana ojczyzna uzbeki i ruska! Ha! ha! ha!

Wyszedłem, kapitan stanął w drzwiach, wykrzykując za mną na cały głos obelgi. Chciałem się wrócić i dać mu w twarz. Ale pomyślałem, że szkoda ręki. Odwróciwszy się popatrzałem na niego tak, że umilkł.

Na drugi dzień Saidka zapukała do mego pokoju. Przez otwarte okna wpadł pierwszy promień słońca i odbił się w oczach wchodzącej dziewczyny.

— Mango, mango, homary! ryby! — krzyczał pod oknami przechodzący handlarz arabski.

— Dzień dobry panu! — uśmiechnęła się do mnie pierwszy raz. Zauważyłem, że w tym uśmiechu jest prawie piękna.

— Kawa, czy mleko? — pytała mnie spuszczając roześmianym wzrokiem z moich zdziwionych oczu.

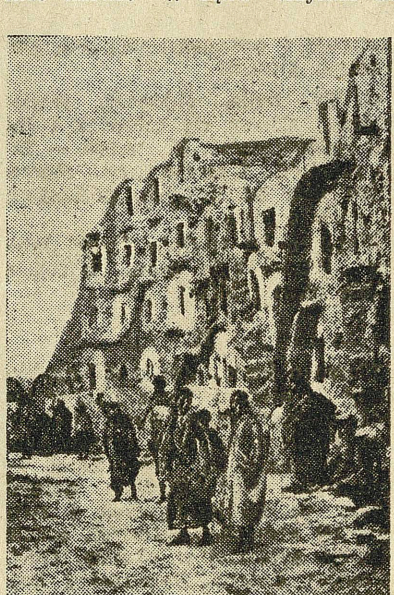
— Aha — pomyślałem naraz o wczorajszej awanturze z kapitanem — na pewno wszystko słyszała...

Od tego czasu stosunek służby do mnie zmienił się. Wszyscy byli bardziej uprzejmi i z ciekawością spoglądali mi w oczy.

Gdy opuszczałem na zawsze hotel „Welfare”, Saidka chwyciła mnie za rękę i rzekła: — Wie pan, ja też odchodzę z tego przekleśniętego hotelu. Proszę zajrzeć do mego pokoiku. Będzie panu wszystko jasne.

Jego gwałtowne zachowanie i ton głosu spowodowały, że szybko zszedłem po schodach i znalazłem się w drzwiach rudery, nazywającej się szumnie „pokojem dla personelu”.

We wnętrzu panował nieład, wśród którego skakał jak opętany właściciel hotelu depcząc jakiegoś kartki. W ręku trzymał ja-



pół przedartą, reprodukcję przedstawiającą czołgistę radzieckiego. Sprawa z Saidką przybrała postać dziejowej burzy. Opasli sąsiedzi „Welfare” przychodzili by załamywać ręce nad „rozpustą” służących. „Rozpusta” nazywały się przekonaniami wolnościowe. Przychodzili do pokoju Saidy i oglądali wściekłymi, to znowu przerażonymi oczyma strzępy książek.

W korytarzu stała Saidka, spakowana do odejścia. Małą walizkę oparla o ścianę, przymknęła powieki, blada i zmieszana. Ale gdy nagle popatrzała na mnie, dostrzegłem w jej spojrzeniu zaciętość.

Po pewnym czasie znalazłem się w Transitz-Camp przydzielonym dla repatriantów.

Obóz leżał w dorzeczu Nilu w pobliżu miasteczka Ismaili. Obóz odwiedzali angielscy oficerowie, wygłaszając długie i nudne odczyty ministra Bevina.

(dokończenie na str. 6)

JAN ALEKSANDER KRÓL

W ŚRÓD K O R E S P O N D E N T Ó W



Foto CAF

PRZYJECHALI z całego kraju na swoje plenum.

Przyjechali w roku przełomu, w trzecim roku Planu 6-letniego, tuż po VII Plenum Partii. Z łezek i tłumoczków wyciągali wieczorem, w wigilię zjazdu, gazety z referatem Prezydenta Bieruty. Byli facy, co już na dworcach zdobyli „Nowe Drogi” i dyskusej na plenum doczytywali jeszcze w pociągu albo w hotelu przed snem, jaki dzielił ich od zjazdu.

VII Plenum z centralnym akcentem: umocnienia spójni między miastem a wsią... Wiedzieli, rozumieli a co najmniej przeczuwali, że na wielkiej sali z gąszczu 400 korespondentów wyłatać będą jak pociśki odpowiedzi, co znaczy w praktyce terenowej umocnić spójnię. Rozumieli, że na każdym ciążą obowiązki dać te odpowiedzi tak, aby uwzględniła specyficzne warunki terenu i była konkretna, jakby ręką dotykała faktów.

„Rozwijająca się szybko nasza gospodarka narodowa, nowe i potężne zakłady pracy, nowoczesna technika, wymaga od swych kierowników i przywódców... Oni przybyli z rozwijającej się coraz szybciej gospodarki na wsi. Przybyli jak żeglarze na wzniezionej fali ostatnich wielkich akcji: skupu jesiennego i wiosennego siewu, kiedy chłop poczuł, że tu idzie o jego przyszłość, jego naród, o siłę jego ojczyzny, o pokój dla jego dzieci”.

Przybyli czując się tego prądu, tam u siebie poniżej powiatu, kierownikami i przywódcami. A najlepiej, kiedy powiemy: BOJOWNIKAMI! „Chcieliśmy być bojownikami — wyjaśniał stary Józef Szczypek — a był to najgorszy, najtrudniejszy okres w naszej spódmie, zapomnianej i opuszczonej przez powiat i wtedy to zostaliśmy korespondentami”.

Czytali referat Prezydenta Bieruty, wylustrowali referat marszałka Zambrowskiego — i co tu — zdawałoby się — dodawać, co tu powtarzać — a rzuciło się do głosu DWUSTU! Dlaczego? Dlatego, że są to bojownicy, którzy w świetle VII Plenum, rozjaśniającym im perspektywę, mogli i czuli się w obowiązku odpowiedzieć z jakich wychodzą walk i zwycięstw i do jakich teraz konkretnie poprowadzą gromadę, spółdzielnię, PGR, GS, POM, gminę, okolicę, aby umocnić spójnię.

„Nie mieliśmy w ubiegłym roku życia — mówił Józef Szczypek — członkowie spółdzielni produkcyjnej — a w tym roku mamy 80 ha żyta i pszenicy, 27 ha buraków cukrowych, 30 ha jęczmienia, 80 ha owsa a mieszaniki bez liku. Nie mieliśmy bydła a teraz mamy bydło. W ubiegłym roku dwie były maciory a dzisiaj 120 sów spasiowych. Mamy 120 sów, a możemy mieć tysiąc, bo duży z tego dochód, a mało wymaga czasu obrządzanie. W tamtym roku mało mieliśmy siana. Musiałoby przy tym pracować 10 ludzi. A dzisiaj jest u nas dmuchawka, która za 10 ludzi robi stery i rzuca snopy. Robota lekka, nie ma rozsypania. Jest taki tryjer bardzo potrzebny a niewiele kosztuje, niecałe 5000 zł”.

Oto meldunek osiągnięć. Oto dynamika rozwoju spółdzielni, jaką wniósł na zjazd korespondent. Ta dynamika omal go nie zatrzymała w spółdzielni. Odradzano mu wyjazd: robota się pali, będziesz potrzebny. Ale Szczypek wyruszył do Warszawy w imię tego, czego od niego żądano. Wyruszył, aby okazać się potrzebny spółdzielni. Patrzył bowiem, jak bojownik, jak korespondent w przyszłość, w perspektywę, która wymaga umocnienia spójni a „nie różami oczyścić ustane jest nasze życie... nie szczeni nam jeszcze wielu trosk”.

„W tym roku wciąż do nas przyjeżdżają z powiatu chłopskie wycieczki — ciągnął do wniosku rzecz swoją, Szczypek — oglądają i widzą, że nasze bydło rasowe, krowy tłuste i mleczne, cielaki dobrze hodowane, w polu nie dojrzą kłaniać, więc nam zazdroszczą i wracają z głowami nabitymi obrazem naszej urody i dostatku”.

Miał Szczypek zostać w spółdzielni, gdzie robota paliła się w najbliższych dniach? Miał wspomóc tę doraźną krzątanie — kiedy przeczytał referat Prezydenta Bieruty? Nie, bo referat uprzytomnił mu doniosłość spójni jaką oni zaczęli już rozwijać, oddziaływać na cały powiat, a tu, jak grom z jasnego nieba PGR wszczął rozszczenia do zabudowań, które spółdzielnia własnym kosztem i własną pracą odremontowała i na nich oparła gospodarkę polową i hodowlaną. Szczypek przyjechał, aby powiedzieć, że będzie się bił o te zabudowania. Nie dopuści, aby członkowie upadli na duchu. Nie dopuści, aby niszczyła gospodarkę choćby tylko trochę, bo ona promieniuje na powiat, ona pogłębia spójnię. Ona już wzbudziła w wielu gromadach wiarę w nową gospodarkę, już zaczęła sojusze robotniczo-chłopski, umacniając w świadomości chłopów kierowniczą rolę klasy robotniczej.

„Jeśli spółdzielnia tak dobrze gospodaruje, a jak podają sprawozdania nasza spółdzielnia dorównuje majątkom państwowym to sądzę — wywodził Szczypek — że spółdzielnia mogłaby objąć gorzelnię, jaką mamy na naszej ziemi”.

Oto konkretny projekt, jak u nich można by umocnić spójnię. Niech chłop z powiatu widzi, co potrafi spółdzielnia produkcyjna, jakie może mieć perspektywy: gospodarować i uprzedmawiać się! Nie przeczuwał Szczypek, że kiedy będzie troski te i plany rozwijał przed zjazdem aby zapewnić o słuszności wytkniętego celu i dać przykład, jak można i trzeba iść naprzód — nie przeczuwał, że już w pół zdania odkrył mu marszałek Zambrowski: „skoro spółdzielnia zbudowała, to nikt spółdzielni tego nie zabierze!” Nie przeczuwał, że w podsumowaniu dyskusji premier Cyrankiewicz i o gorzelni wspomni: „ponieważ jest mała, będzie przyznana spółdzielni”.

Był to na zjeździe wielki przykład, ukazujący jak z jednej strony bojownik — korespondent konkretnie sprawę umocnienia spójni i jak z drugiej strony winny działac organa ludowej władzy w terenie, aby rozwijała się szybko nasza gospodarka, umacniając spójnię między miastem i wsią.

Kiedy Karol Dąrzek, chłop po czterdziestce, organizował spółdziel-

ANDRZEJ LAM

PO IV PLENUM ZWIĄZKU LITERATÓW

JEDEN z ostatnich dyskutantów, Adam Polewka, zwracał na to uwagę, że ostatnie Plenum Związku Literatów Polskich, poświęcone zagadnieniom tematyki współczesnej w naszej literaturze lat 1950 — 1952, nie przyniosło żadnych nowych wniosków i dlatego trudno uważać je za sygnał przełomu. Czy głosy te są słuszne? Uszuśnienie brzmiałoby tak: na Plenum nie powiedziano nic nowego, skodyfikowano jedynie — i to dość chaotycznie — dotychczasowe sądy. Ale słuszności przyznać tym głosom nie można, bo właśnie owa kodyfikacja stanowi bezsporną wartość.

Za sukces Plenum uważać bowiem należy postawienie na właściwej ideologicznej płaszczyźnie walki o jakość utworu literackiego. Referat Jerzego Putramenta zawiera nie tylko rejestrację zasadniczych objawów schematyzmu, słabości niektórych naszych utworów literackich, ale również analizę przyczyn tej słabości, spowodowaną do źródeł ideologicznych. W ten sposób oficjalnie został obalony nielustyczny pogląd, jakoby pisarze polscy osiągnęli już doskonałość światopoglądową, jakoby wyciągnęli bezkompromisowo i konsekwentnie wszystkie wnioski, wynikające z marksizmu-leninizmu i jakoby walka toczyła się obecnie jedynie na terenie spraw t.zw. warsztatów, t.zw. doskonałości artystycznej. W istocie: jeśli schematyzm spowodował się błąd do nieznaności życia bądź do zwykłego niebalstwu i beztroski o czytelnika (Adam Ważyk słusznie stwierdził, że trzeba tu oczyścić złośliwość, iż pisarz ma talent), to jakie mogą być w jednym i drugim wypadku ostateczne korzenie obu tych zjawisk? Czy pisarz o pełnej dojrzałości ideologicznej napisze powieść nie poznawszy wpród gruntownie życia? Czy wybaczysz sobie oświeżalność i lenistwo? Czy rozgrzejesz się ze strusiego chowania głowy w piasek? Czy ulegnie bez przekonania redaktorowi wydawnictwa? Twierdzącą odpowiedź musiałaby w każdym wypadku zaprzeczć kwalifikacją partyjnego pisarza. Potrafimy przecież wskazać utwór napisany przez człowieka nie zajmującego się literaturą zawodowo, a pełen pasji i prawdy życia: „Matkę i syna” Bobruka.

W dyskusji słusznie zwrócono uwagę, że odpowiedzialność za błędy spada przede wszystkim na pisarzy, a nie na okoliczności zewnętrzne, jak redakcje, krytyka itd. Krytyka rzeczywistości wykazywała niekiedy swoją niedojrzałość i tendencje do ułgawizacji, ale nie po jej stronie leży podstawowa przyczyna błędów literatury. Pisał na ten temat Lu-

nie produkcyjną, opisał szeroko, z jakich to powodów i dla jakich korzyści gromada rozpoczęła nowe życie. Drukowały jego wywody „Gromada” i „Trybuna Robotnicza”. Posypały się wówczas anonimowy Otrzymał ich Dąrzek 24, jeden z wyrokiem śmierci. — „A mnie śmiech pusty ogarnął. Jak można w roku 1950, kiedy władza ludowa tak ugruntowana — pisać podobne bzdury. Były to listy zbankrutowanych durniów”.

Do czego zmierzają anonim i plotka? Do zatruwania, które osłabia w pracy i hamuje jej rozmach.

A mnie śmiech pusty ogarnął... i podam wam krótki fakt. Zwiędził naszą spółdzielnię chłop z województwa warszawskiego. Był zachwycony naszymi planami. Bo u nas, jak i prawie w całej Opoloszczyźnie spółdzielnie produkcyjne przekroczyły w tym roku państwowy plan w zakresie produkcji zwierzęcej. A po czym mam prawo sądzić, że byli zachwyceni? Nie było jednego, któryby nie zerwał sobie kilka kłosew żyta, jęczmienia, rzepaku. Nie na walizkach nas zastali, ale wśród tak dorodnych plonów, że natychmiast o mawiewieckiego i podlaskiego chłopów pragnieniem agitacji. Brał nasze kłosey jako dokument i jak talizman aby za powrotem w warszawskim województwie ubrać ludzi przeciw plotce w śmiech, który zmiażdży wroga.

Dąrzek, wolny od trwogi, zaszczepia innym odwagę. A jest ona siłą największą z istniejących. Całą energię człowieka przelewa w zaplanowane dzieło. Nie pozwolił z niej nie rozproszyć, nie pozwolił zmącić umysłu, osłabić jego skupienia. Rodzi zawsze jasność celu i środków, przeobraża pracę w twórczość.

O jeszcze jednym a znamienitym fakcie opowiadał Dąrzek.

W lipcu mają odwiedzić spółdzielnię chłop z województwa lubelskiego, skąd rodem sam Dąrzek. Będzie to akurat pora szczytowania buraków. Szczęście tu nowość! Dopiero w tym roku pojawiły się w gazetach pierwsze sygnały. A rzecz niestychanej wagi. O ile bowiem doświadczenia dadzą dobre wyniki, można będzie zebrać z pola PODWOJNY ZBIÓR.

W spółdzielni Dąrzka postanowiono dokonać próby na 1 ha buraków cukrowych. Jest to próba poważna, dlatego potrzebny do niej dokładny opis. A tymczasem w „Chłopskiej Drodze”, gdzie ten wspaniały

skok plonów buraka anonosowano, nie doczytał się Dąrzek szczegółowych, z sensem podanych objaśnień.

— Szczęści się buraki nasieniem. Robi się 3 razy patyczkiem dzurkę w odstępach 10-dniowych, ale czy w tym samym miejscu, czy za każdym razem gdzie indziej? Są to rzeczy nowe, a dla produkcji cukru rewolucyjne! Czyż zatem można tak gwałtownie pisać, z takim niedbalstwem?

Z wielu spółdzielniami współdziałają już pracownice naukowe. Ale i tam, gdzie nie ma bezpośredniego kontaktu, jak np. w spółdzielni Dąrzka, związek ten zadziwiera się od dołu, od samego zespołu wychodzi inicjatywa. Bo spółdzielnia, to socjalizm, a socjalizm to naukowa organizacja pracy.

Trzeba zrozumieć, że ci najdzielniejsi, których w obliczu anonimów, groźącego śmiercią, ogarnia śmiech pusty, ci idą naprzód siedmiomilowymi krokami. Oni na serio i z całą powagą sięgają po wynalazce wskazujące zwiększenia produkcji. Oni następują na pięty nauce i udziwiają się na pola najnowszych doświadczeń aby nie czekać, razem z nią próbować skoku w przód.

Szczegół, o którym opowiadał Dąrzek, odłania wielką perspektywę! Ci, co przyjadą z Lubelszczyzny, powinni zobaczyć próbę, powinni ujrzyć naukę w twórczych rękach chłopów-spółdzielców.

Powinni otrzymać jedną z odpowiedzi na tak ważny artykuł, jak cukier. Odpowiedź oszalałająca. Odpowiedź, jaka swoim własnym snopem światła zdolna jest już ukażać gigantyczną treść naszego budownictwa socjalistycznego.

I jeszcze jedno trzeba nam przypomnieć. Oburzenie Dąrzka na mejne objaśnienia gazety, kiedy ich spółdzielnia czynnie śledzi ostatnie zdobycze nauki i pragnie je stosować w praktyce.

„Gdybym był Mieczysławem to bym się nie pytał redakcji”.

—

ZJÓZEFEM Rogowskim rozmawialiśmy wieczorem w przeddzień zjazdu. Stary siedział sztywno w kole spółdzielców, wypinał pierś, na której błyszczał Krzyż Zasługi. Tym Krzyżem starał się wykupić od pytań i zaczepki. Bo cóż mógł powiedzieć rozgadany spółdzielcom, on, indywidualny,

średniak? Ma tu w Warszawie córkę — lekarza i zięcia — inżyniera, nie wyskoczył jednak do rodziny. Ugrzązł w kręgu spółdzielców i słuchał Kołodziejczykowej i Jaroszewej.

Przyszła jednak i na niego kreska. — Kiedy u was, Rogowski, powstanie spółdzielnia?

Stary rozłożył ręce. W całym powiecie brzezińskim nie ma jeszcze spółdzielni. A w jego gminie? Zaczynają rolnicy trzymać się kurczowo Łodzi, jak kot myszy i wynoszą tam, bo blisko, nadwyżki na czarny rynek. W jego gminie nie mają chłopów większych maszyn rolniczych, a daleko do SOM-u, jeszcze dalej do POM-u.

— A jaki Wasz pogląd?

— Myślę, że jeśli by to było możliwe, należało by zlikwidować czarny rynek, aby był jednolity. A zwołując zebrania, trzeba domagać się, aby kolektywizowano chociaż jedną gromadę w naszej gminie. Bez czarnego rynku i z taką pokazową spółdzielnią z maszynami, to by u nas powstał ruch do spółdzielni.

— Aleście sztywni, tno przez dekrety chcecie iść naprzód, a do spółdzielni droga przez dobrovolność i agitację.

— A Krzyż za co macie?

Stary omal się nie obraził. Bo przecież, kiedy mówił o zacofanych rolnikach a chytrych na zbył, kiedy mówił o braku maszyn w okolicy i o całym powiecie, w którym nie ma jeszcze spółdzielni, chciał przez to podkreślić, jak dalece znajduje się w tyle, on, reprezentant swojego terenu, za tymi produkującymi chłopami, członkami spółdzielni.

Ale spółdzielcy nie kpiłi. O Krzyż pytali poważnie. I tym pytaniem trafnie oddzielili „sztywne poglądy” Rogowskiego od jego pracy. Udobruchany stary miał teraz o czym mówić.

Jej rodzinna wieś, Dąbrówka, za wzorowe wykonywanie planu i obowiązków wobec państwa, już trzeci rok z kolei otrzymuje premie; odznaczenia otrzymał nie tylko Rogowski — dziesięciu chłopów.

A co się tyczy tegorocznych żniw, rzuciła gromada wezwanie innym uśm do współzawodnictwa. Żniwa zobowiązali się rozpocząć 14 lipca, na arenie 70 ha skosić zboże w 4-ch dniach, w następnych 4-ch podorywanie i poplonny na 40 ha, omloty zaś i zsyż z nadwyżką 50% do 15 sierpnia. Dla wykonania tak

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

napiętego planu otrzymali przyrzeczenie z POM-u, że dostaną cztery żniwiarki i trzy miłocarnie. Po raz pierwszy pojawiają się we wsi ciężkie maszyny.

Nielatwo pojąć Rogowskiego. Kiedy mówi o jednym rynku i zarządzaniu dla powołania pokazowej spółdzielni produkcyjnej w powiecie — chciałoby się rzec — lewak. Ale Rogowski nie jest przecież „władzą”, nie jest partyjnym. W swoim przegięciu przynosi jakieś ziarno poglądów chłopów bezpartyjnych, średniaków w większości. Nim się przegięcie skrytykuje trzeba wyłuskać ziarno z kłokół. Trzy razy gromada wypełniła w terminie i ponad plan swoje zobowiązania. W czwartym roku przyjęła jeszcze wyższe zobowiązania. Co to znaczy? I skąd się to wzięło? Rogowski powiada — honor o b y w a t e l s k i. Jak on go rozumie, jak go doświadczył? To się odłania tajemnica. Plany i zobowiązania, jakie stawia państwo przed wsią, oto teren doświadczeń Rogowskiego — działacza.

Na dekretych i zarządzeniach rządu rósł honor obywatelski chłopów w Dąbrówce Małej i gminie Niesiołków, wypełnił się z honorem — tak się miały sprawy. Była to więc droga, świadcząca o pogłębianiu się zaufania i wiary w ludową władzę. Na tej drodze w świadomości chłopów coraz bardziej stapiało się społeczne z państwowym. I coraz bardziej społeczne przesuwało się w państwowe. Nie trzeba zapominać, że dekrety o obowiązkowej dostawie mięsa i mleka poprzedziły listy korespondentów, w których chłopci domagali się takich zarządzeń. Państwowe dekrety ukazywały się jako wyraz woli mas chłopskich. Kiedy więc Rogowski marzy o dekretych na jeden rynek i zarządzaniu na kolektywizowanie pokazowej wsi w brzezińskim powiecie — błędzi. Ale zrozumieć źródło tej „filozofii”. On jest pewien swojej gromady i gminy jak żołnierz, który poznał w bojach macierzysty pułk. Jeśli dowództwo każe iść na czołgi, pójdą na czołgi. Niechby był jeden rynek — a honor obywatelski weźmie górę, niechby jedną tylko spółdzielnię „nasadzili” — a współzawodnictwo weźmie górę. W tym jest oczywiście przesada i naiwność średniaka, który radby przeskoczyć ułask klasową dekretem, który nie docenia uroga klasowego i zmagania wewnętrznych w swojej warstwie i u matorolnych, który przełomu nie widzi w perspektywie, jako własnego dorobku pracujących chłopów. Ale czego tu nie wolno przegapić? Gotowości na wszelkie zarządzenia władzy ludowej i patriotyzmu socjalistycznego, który w dekretych widzi obowiązki i prawa, obejmujące wszystkich i stąd czerpie świadomość narodu, jego wzrostu i przemian.

A Rogowski — działacz? Tu druga zagadka. Stary w swej pracy społecznej ma wyczucie i smykałkę. Wyprzedził trzy razy wieś na wysokość premii i odznaczeń. Czy możliwe, aby za czwartym razem gromada nie posunęła się jeszcze dalej?

Posunęła. Podjęła zobowiązania które przyniosły jej chlubę w skali krajowej. Rogowski drzy, czy aby POM nie zawiedzie? Czy będą dostarczone 4 żniwiarki i 3 miłocarnie, czy w akuranych terminach? Bo w tym najtrudniejszym zobowiązaniu reputację Dąbrówki psi mogą zjeść. Czy Rogowski nie wie jak doszło do tego ambitnego planu żniwnego? Wie! Sam jest kierownikiem SOM-u. Sam gromadził i reperował szczypty park maszynowy i z bólem serca przekazywał go innym wsiom, bo do Dąbrówki 8 kilometrów.

Kiedy więc teraz gromada przyjęła plan wspólnych żniw, jakby to była spółdzielnia, kiedy ułożono rekordowe terminy i całej akcji nadano rozmach imponujący, bo tu i kośba i podorywki i poplonny i omloty i zsyż o 50 proc. ponad plan, a wszystko razem w miesiąc czasu — coż dalo początek temu wielkiemu eksperymentowi? Honor? Tak, ale honor w rozumieniu Rogowskiego, to wypełnienie z nadmiarem obowiązków. A tu doszło coś nowego, coś własnego. Tesknota do maszyn. Lata cale torowała sobie drogę do ryżka, do decyzji. I w tym roku wzbudła czymś. Tak wielkim planem żniw Dąbrówianie zdobyli sobie prawo do maszyn. Przyciągnęli je z wielkiej odległości. Eksperyment nie kończy się na samych żniwach. Gromada zasłużona, ma dziesięciu wyróżnionych, chwyta teraz za maszyny. A Rogowski od roku wliczył, że w ich wiosce małej na międznych zmarowanej ziemi 14 ha. Wszyscy brali udział w tych obliczeniach i zgodzono się. 14 jak obywatel.

Czy Dąbrówka, skończyła z żniwami, czy też jesienią pójdzie na obsew wspólny, czasowo usuwając niedze, a może jeszcze dalej pójdzie?

Rogowski na pewno nie przegapi momentu. Energję weźbrała podczas żniw pchnię w jesienne siewy. Ale teraz jeszcze tego nie widzi. Jeszcze wciąż wypełnia — jako działacz — obowiązki państwowe z honorem i nie odczuwa, że krok za krokiem prowadzi gromadę naprzód, że ona dobrowolnie, choć w walce, wśród plotek i szysderstwa urogoń i ich zauszników — dojrzeła właśnie do roli wzorowej spółdzielni, jaka rozpali ruch w powiecie.

Rogowski na pewno nie przegapi momentu. Energję weźbrała podczas żniw pchnię w jesienne siewy. Ale teraz jeszcze tego nie widzi. Jeszcze wciąż wypełnia — jako działacz — obowiązki państwowe z honorem i nie odczuwa, że krok za krokiem prowadzi gromadę naprzód, że ona dobrowolnie, choć w walce, wśród plotek i szysderstwa urogoń i ich zauszników — dojrzeła właśnie do roli wzorowej spółdzielni, jaka rozpali ruch w powiecie.

Rogowski na pewno nie przegapi momentu. Energję weźbrała podczas żniw pchnię w jesienne siewy. Ale teraz jeszcze tego nie widzi. Jeszcze wciąż wypełnia — jako działacz — obowiązki państwowe z honorem i nie odczuwa, że krok za krokiem prowadzi gromadę naprzód, że ona dobrowolnie, choć w walce, wśród plotek i szysderstwa urogoń i ich zauszników — dojrzeła właśnie do roli wzorowej spółdzielni, jaka rozpali ruch w powiecie.

Rogowski na pewno nie przegapi momentu. Energję weźbrała podczas żniw pchnię w jesienne siewy. Ale teraz jeszcze tego nie widzi. Jeszcze wciąż wypełnia — jako działacz — obowiązki państwowe z honorem i nie odczuwa, że krok za krokiem prowadzi gromadę naprzód, że ona dobrowolnie, choć w walce, wśród plotek i szysderstwa urogoń i ich zauszników — dojrzeła właśnie do roli wzorowej spółdzielni, jaka rozpali ruch w powiecie.

Rogowski na pewno nie przegapi momentu. Energję weźbrała podczas żniw pchnię w jesienne siewy. Ale teraz jeszcze tego nie widzi. Jeszcze wciąż wypełnia — jako działacz — obowiązki państwowe z honorem i nie odczuwa, że krok za krokiem prowadzi gromadę naprzód, że ona dobrowolnie, choć w walce, wśród plotek i szysderstwa urogoń i ich zauszników — dojrzeła właśnie do roli wzorowej spółdzielni, jaka rozpali ruch w powiecie.

Rogowski na pewno nie przegapi momentu. Energję weźbrała podczas żniw pchnię w jesienne siewy. Ale teraz jeszcze tego nie widzi. Jeszcze wciąż wypełnia — jako działacz — obowiązki państwowe z honorem i nie odczuwa, że krok za krokiem prowadzi gromadę naprzód, że ona dobrowolnie, choć w walce, wśród plotek i szysderstwa urogoń i ich zauszników — dojrzeła właśnie do roli wzorowej spółdzielni, jaka rozpali ruch w powiecie.

Rogowski na pewno nie przegapi momentu. Energję weźbrała podczas żniw pchnię w jesienne siewy. Ale teraz jeszcze tego nie widzi. Jeszcze wciąż wypełnia — jako działacz — obowiązki państwowe z honorem i nie odczuwa, że krok za krokiem prowadzi gromadę naprzód, że ona dobrowolnie, choć w walce, wśród plotek i szysderstwa urogoń i ich zauszników — dojrzeła właśnie do roli wzorowej spółdzielni, jaka rozpali ruch w powiecie.

Andrzej Lam

Jan Aleksander Król

JAN BOLESŁAW OŻÓG

POŻEGNANIE

O TO już czekają przed spółdzielnią: Mietek Pieter, Wojtek Selwa, Franek Cutyt, Józek Wiński i Krzys Pałega. Krzyk omal nie wylupie okien w sklepie:

— Maniek! Maniek!
Odpowiada nareszcie brzęk dzwonka znad drzwi i Maniek wybiega w białym kitlu sklepikarskim. Wykopuje piłkę na pastwisko. Rzucają się hurmą i kopią ją między konie, które kwicząc, przesadzają płoty i robią chłopakom wolne miejsce.

— Stój! Wybierać się! Dawać piłkę — nawołuje kapitan drużyny, Maniek. Rzuca pięćogroszówkę na ziemię:
— Jak spadnie na orzelka, to wybiera Krzys, jak na reszkę — Mietek. Pieniążek upadł. Wybiera Mietek. Grać się będzie we dwie bramki. Trenując juniorów. Bramki oznaczono czapkami. Stają na środku. Po stronie Krzysia jest Maniek i Wojtek.

— Uwaga!
Dobrze, że wszyscy są przynajmniej boso, bo każdy kopie na oślep: po piłce, po nogach, po kościach. Co chwila ktoś kładzie się na ziemi i płacze. Nikt sobie nic z tego nie robi, więc podnosi się z zaciśniętymi zębami i kuleje, ale do „gali” biegnie, tylko kurz za nim. Padają krzyki i przezwiska.

Krzys kiwnął Franka, już jest przed bramą przeciwnika, nagle czuje pchnięcie z tyłu i kopnięcie w kostkę. To Mietek! Rzuca się na niego z rękami.

— Za coś mnie kopnął?
— To ja? — jęknął największego we wsi bogacza krzywy złą gębę.
— Nie ty? — pokazuje mu pięść.
— No, spróbuj mnie tknąć! Jaki mądry jolek! — Krzysiek! Krzysiek! — krzyczą już na niego. — Piłka!

Patrzy na graczy stary, kulawy Nowak w koszuli wypuszczonej na porciaki. Siadł pod szopą strażacką na cementowym betonie, zapala fajkę, pyka białym dymkiem i trzęsie się ze śmiechu, gdy któryś z graczy zarzyje nosem w trawie. Ej, te nowomodne zabawy! Calkiem miasto się zrobiło. Gdzie to przed wojną coś takiego widziano! Jak to mówią? Juniorzy? A niech ich kółka zepże!

Tuż przed boiskiem opada ku pastwisku ogród Buczaka. Rosną grusze i georginie, a w tym wszystkim kryje się dom. Ale sztachety w płocie wysokie, wysokie. Jest pięknie. Urywany łotem spadają między chłopców bielinki — kapustniki. W chwilach ciszy słychać dzwonek brykającego po błoni żrebaka.

No, nareszcie! Partia Mańka wygrała. Wsunęli Mietkowi piętnaście. Ostatnie strzały były z wykupu Krzysia. No! przynajmniej, tyle mu dał! Niech uważa na drugi raz! Nie szarpie się.

Rozbierają się do koszul i jest miana stanowiąc. Krzys grał na „skrzydle”, a teraz stoi w „bramce” i znowu pójdzie na środek, gdy tylko odetchnie. Naprzeciw jego bramki widać dom Selwów. Dach pokrywa czerwona i biała dachówka, a okna mają niebieskie framugi. U okien rosną astry i malwy, przy szopie koło betonowej studni — słoneczniki.

Pod tymi słonecznikami siedzi właśnie na osuszonej ławce wujenka Krzysia — Jadźka. A jak wypiekniła teraz! Patrzy boki, gdy rece opiera o ławkę i zakłada nogę. Widać spod falbank białej krakowskiej różowe pończochy.

Myśli sobie Krzys: „czy ona mnie widzi?” i robi mu się bardzo przyjemnie.

— No, ty, nie wylupiaj gał do dziewczki, nie twój!

Obciera się Krzys gwałtownie! Znowu Mietek. Widzi jego szyderstwem przymrużone oczy. Łapie kopniętą piłkę, czuje gorąco na policzkach. Z daleka ktoś stroi ręczną harmonię i wydobywa walc. Przystają chłopcy na chwilę, wdychając muzykę.

— To Wojtuś Biernat.
Tak, to chyba Wojtuś. Prezes ZMP. Widać, jak z domów wychodzą za zapłocia chłopaki i dziewczęta z głowami gołymi posłuchać tego waleczyka. Jadźka także podchodzi do furtki w płocie.

Krzys usiadł na brzegu stawu i patrzy, jak chłopaki się kąpią. Koło niego na trawie pełno poskładanych na kupki zgrzebnych koszul, parciek i płóciennych czapek. A woda jeno jęczy. Ci, którzy płyną, biją nogami, aż brzyzga na brzeg. Kapać się chodzą cała szkoła: rozpyskowani „Górzanie” i „Dolanie”, opaleni przy pasieniu bydła. Także ci starsi, chodzący do klasy ósmej.

— Ciepła woda?
Krzyżę:
— Jaka ciepła! Chodź, bejes wi-dziół. No, chodź!

Staw jest ogromny, ale niegłęboki. Na środku rośnie wiklina i jest porządne błoto, ale z brzegu pod nogami twardo i równo jak na boisku.

Wskakuje do wody. Rzuca się na boki i nurza po kilka razy, żeby nabrać ciepła.

Wymyślił zabawę w Murzynów. Na drugim brzegu rośnie wiklina w głębokim, zimnym błocie. Przedostają się przez wiklinę na drugą stronę stawu i pakują w mule czarnym jak

maż. Z dzikim wyciem, popychając się i rycząc ze śmiechu wyskakują potem jak ludożercy z wody, ciejdają po pastwisku i straszą dziewczynki wracające ze sklepu. Dziewczęta piszcząc uciekają i płaczą w przestachu. Że to takie zaraz muszą płakać!

Są przynajmniej pewni, że nikt ich tu nie pozna i nie będzie łapał w tym „prebraniu”. Nagle krzyk:

— Konie, konie!
Oho, konie ze spółdzielni. Wojtek Biernat pędzi konie do kąpieli. Biegają wszyscy co tchu na spotkanie. Krzys też. Leć, leć konie na zbity łeb w staw, pierwszy wpadł ogier, tarza się już w wodzie, dzieci chluszczają nań tymi pomyjami, za nim rzucają się trzy klacze i watach. Ej, teraz, Krzysiu, na brzuch ogierowi i na grzbiet — i wio, wio, po wodzie! Radość nieokiełznana!

Skacze do grzywy Krzysiek i już na ogierku. Ten lno wierzga. A za nim Mietek, Maniek i Franek. „Tyłko wolno” — słychać krzyk Biernata, ale tyle ich ma. Śmiech ich goni na rozkosz, wiatr smaga po czarnej, upakanej skórze, pęd grzeje krew, słonko rozpala złoto w oczach. Od stawu długie, długie wołanie:

— Milicjant.
O wa, milicjant! Jeszcze jedno kółeczko dookoła remizy. Kto lepiej, kta szybciej. Żeby tylko tego bułanego Mietka prześcignąć. Nakreca Krzys i nagle — oczom swoim nie wierzy: tak, idzie ktoś od strony kościoła w mundurze. Idzie milicjant drogą, ale ba, nie sam. Dziewczynę jakas trzyma pod pachę.

Oto przechodzą teraz koło koryta z wodą. Idą oboje z odkrytymi głowami. Cichutko, nawet kosów i wilg nie słychać w olszynach, świerkają tylko żytiane zagony wysokie i gęste. Milicjant ma oczy siwe i spokojne jak woda. Czesze się na jeża. Widać teraz. Czoło ma odrobinię bielsze niż twarz, nos prosty. Jak to dziwne widzieć milicjanta tak z bliska, bez czapki i karabinu! Władza! Piękny, galowy mundur, spodnie po kostki, pas koalicyjny przez ramię i nagan w nowej pochwie.

Rozpiął żołnierz pod szyją kołnierz. Cała jego gęba promienieje, jakby dusza chciała rzeć: Ach, jak tu miło na wsi! Niebieskie czako niesie mu za daszek, no wiecie kto? Widać teraz... Jadźka, a ma na sobie w tej chwili spódnice w jabłuszka i kwiatki a gors zielony. Stapa lekko w wysokich korkowcach i rumieni się, bo chłopcy patrzą z koni ciekawie, bezczelnie.

Krzysia podnieca najwięcej rąbek kraciastej chustki w czapce milicjanta. To chustka z jej głowy. Powoli i świętecznie przechodzi młoda para pod sad Pikora.

— Ładną sobie pannę wybrał — szepce Maniek.

— W całej wsi tu nie ma ładniejszej — popiera go całą duszą Franek Antyt. — A gdy to mówi, serce zamiera Krzysowi i z bólu i żalu.

Wieczór kroki jego prowadzi nad rzekę pod sklep spółdzielczy. Przechodzi przez groblę i nagle, widzi — nad rzeką... ona!

Odwraca się, ale w tej chwili przecina mu pierś niewysłowiona słodkość. Słysz:

— Nie uciekaj, Krzysiu, nie uciekaj.

Coś tam prała. Rzekła zastawiona groblą szeroką jak niedza. Po wodzie konopie się moczą, przywalone darniami murawy. Płótna samodziłowe leżą na trawie. Po tych płótnach przechodzi boso z zaciśniętymi zębami. Jadźka w tej chwili kończy swą chłapaninę! Wyprostowuje się, strząskana wodą. Biała, krótka bluzka o kęs nie przysię pod wypięzoną piersią.

— Krzysiu, dobrze, żeś tu jest, pomóż mi, przecież kuzyn. Przechyliła się i ujmuję ją za rękę, wyciąga na brzeg.

Mile ciepło opływa go, jakby dotykał ręki z jedwabiu.

Idą sobie koło rzeki, potem koło spółdzielni. Kukulka jeszcze kukła, w liściach kasztanów niedalekich.

Ktoś krzyczy od sklepu:

— A gdzie futbol?

Mietek! Naturalnie, kto by inny! Rozumie: zazdrość mu. Tak, zazdrość, że idzie sobie oto syn biedniaka z ładną dziewczyną, a on, choć ma ojca bogacza, musi się z daleka obliżać.

Wszędzie pachną kwiaty ziemniaczane, wszędzie pachną lipy. Idzie z najładniejszą dziewczyną. Z dziewczyną, która ma już kawalera.

Przerwa się dopiero cisza w międzyczynach.

— Jutro wyjeżdżam. Na ślub — szepce Jadźka.

Nie umie odpowiedzieć. Czuję tylko, że go w gardle nagle coś uciska. Ale i z Jadźką coś się dzieje. Właśnie stają na moment. Widzi, że płacze. Zbiera mu się trochę odwagi i zapytuje cichutko i prawie tkliwie:

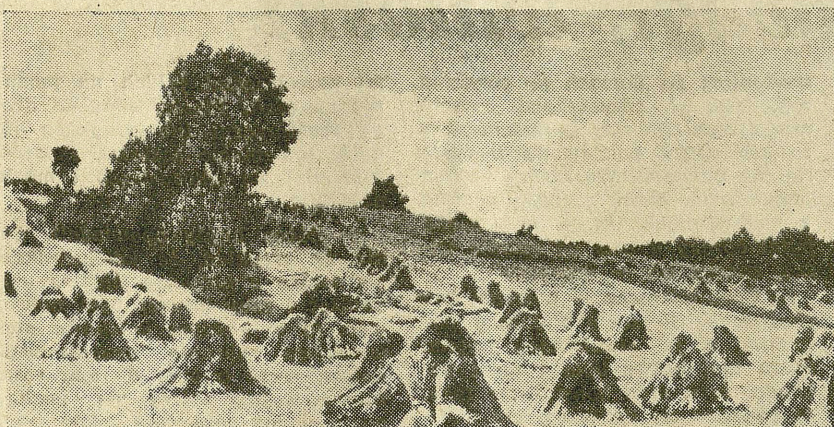
— Jadziu, co ci to?

Wtedy... obejmuje go ramionami i całuje szybko, potem drugi raz i trzeci.

Onieśmielony podnosi głowę.

— Jadę do meża. Wiesz, miasto! Ach, jak mi miło. Ty nie zrozumiesz. Całowałabym burego psa ze szczęścia!

Jan Bolesław Ożóg



WŁADYSŁAW UDALSKI

WSPOMNIENIE Z BEDLNA

Zetempowcom z fabryki im. Wilhelma Piecka w Zychlinie.

Lubię po dniu upalnym łomot burzy
z ciemną zasloną chmur i deszczu
i wiat, co po gościńcach kurzy
i drzewa, co kropkami szepczą.

Lecz w Bedlinie — na dziedzińcu POM-u —
burza wstrząsnęła mną jak pożar,
gdy w rozjarzonych błyskach gromów
przejechały się dojrzałe zboża.

Bo oto na spółdzielczych gruntach
leży niezastawiony jęczmień
i snopów nie ma komu sprzątać,
a chmury idą coraz cięższe.

Za chwilę lunie deszcz i plon —
nadzieja zasólna i zwycięstwo —
zrosnie, jak rdza porasta złom,
z gnijących snopów wionie klęska.



Foto CAF

TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

PRZYPOMNIENIE

Uczniom i absolwentom XI Państw. Liceum w Łodzi, uczestnikom kolonii wypoczynkowych w Górach Bystrzyckich.

Kiedy z młodzieżą rozpiewaną
Z kolonii naszej spod Łomnicy
Schodzimy barwnym węzłem rano
Z grzbietu Kamiennej, by leśniczym,

Pomóc w pieleniu szkółki buków
(Kupiecki topór ogolocił
Z buczyny śpiewny stok Kobluku),
Wejdziemy nagle w gąszcz paproci.

Dalej Bystrzyca bursztynowa
Podbiega, lekko drząc, pod mosty,
Które przed laty wybudował
Z ciosów piaskowca człowiek prosty.

Kto on? — Sas-przybysz? Dawny Ślązak?
Drwał-Czech, bohater Gór Orlickich
W latach, gdy mieczem chciał rozwiązać
Magnackie pętle ruch husycki? —

Nie wiemy, ale miło młodym
Po mostach, której tutaj wzniesili
Iść, by wyrównać pańskie szkody,
Czynione nawet głębiom leśnym —

Po mostach, które spracowane
Dłonie spajały na lat trzysta,
By później człowiek w taki ranek,
Jak dziś, mógł z trudu ich korzystać.

TADEUSZ GIGIER

PIERWSZA PODRÓŻ

Władysławie

Pociągi, przecucia podróży!
Stupy uciekające, wioski, lasy i pola!
Modre na horyzoncie łańcuchy wzgórz — i
morza, lśniące z oddali w słońcu jak opał!

Ziemio, ziemio rodzona, nareszcie nasza!
Rozkwitła w naszych ramionach jak jabłoń wiosną!
Przywracająca uśmiech obliczu starca!
Ciesząca dzieci, które w twym cieniu rosły!

Światła, światła w dolinie gwiazd zistą nocą!
Przeświecające zieleni ogrodów szyby!
Okna, patrzące ku mnie jak dwoje oczu
rozmiłowanych w życiu, młodych, szczęśliwych!

Miła oto nas podróż czeka dziś pierwsza!
Gdy na ramieniu mym rankiem jutro się zbudzisz,
ujrzysz — jak w słowach mego każdego wiersza —
przyjazne twarze prostych, życzliwych ludzi.



Zobowiązanie zlotowe poety

Za chwilę lunie deszcz i kulak
podniesie znów przęgięty łeb,
z radością w ślepiach wieś obhula:
„Zgnoił chleb”.

A ich na polu tylko szczęściu
przeciw dziesięciu morgom snopów,
nie zdają więc przed ścianą deszczu
i jęczmień strugi wód zatopia.

Z POM-u pobiegło nas kilkoro,
lecz ciężkich snopów gąszcz nie rzędzie
i deszcz przekreśli rok uporu,
spółdzielnia przegra żniwa w Bedlinie.

Wtedy z fabryki, od Zychlina
wpadła na pole ciężarówka
i ledwo szofer ją zatrzymał
już zetempowcy, zetempówki,

ci, co w spółdzielni każdy szczegół
znają, bo nie od dziś tu jeżdżą —
stawiają rzędy snopów w biegu
by uratować chleb od deszczu.

Sąsiednią wieś już objął deszcz
więc siły każdy z nas natężył
bo trzeba wszelkie normy znieść
by w walce z burzą czas zwyciężyć.

Ostatnie snopy omoknięte
stawialiśmy w ulewie ostrej,
lecz nasze było już zwycięstwo —
zwycięstwo zetempowskie.

KAZIMIERZ KOSZUTSKI

LISTY DO ŻONY

I

Naszym dniom za ciasno w kusych koszulinkach godzin,
nasze lata się w czterech ścianach pór roku nie mieszczą.
Wiesz dobrze, miła, jak trudno nieraz pogodzić
najważniejsze: żar partyjnych zadań z ciepłem twoich pieszczot.

Nawet nocą w najbliższym sąsiedztwie twoich ust
na skąpej działce snu pęcznieją żdźbła spraw,
jakbym w łanie oziminn kielkował i rósł: —
Pilne. Poufne. Natychmiast. Zalatw. Sprawdź.

A jednak na inne, przytulniejsze szczęście
nie zmieniłabyś, miła, twoich zmartwień codziennych.
I bardziej niż we śnie bliscy sobie jesteśmy,
gdy gdzieś w powiecie agituje za spółdzielnię.

Tylko czasem, jak ciemny obłok, niepokój — że nie zdążę:
Jakże wielu radości, iluż trosk jeszcze nie znam...
Tyle ust, tyle miast, tyle książek,
a życie, psiakrew, jedno...

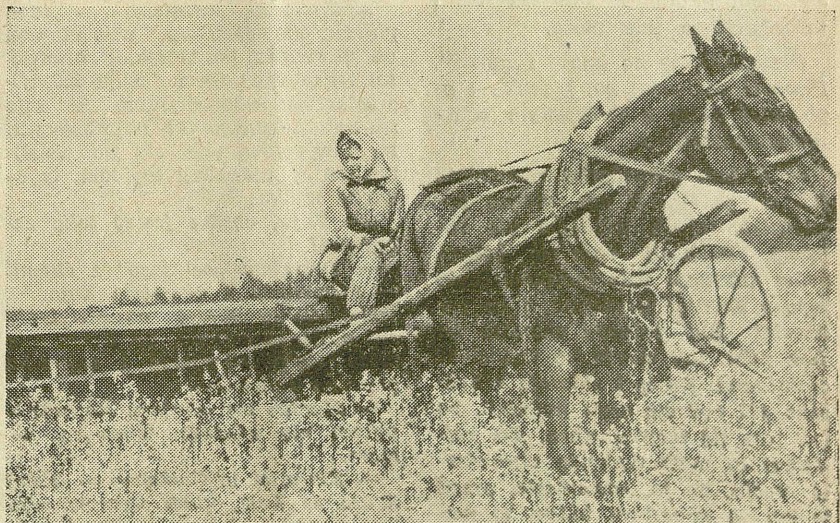


Foto CAF

II

Mój świat się nie kończy w twoich oczach,
lecz wszystkie na nim drogi nasyczone ich światłem.
W cichym, ciemnym cieniu wypocząć
od rozłąki, od nocy i deszczu i wiatru.

Dalekie twoje usta. Noc. Dłonią nie dostrzec
dalekich w deszczu okien, przez które na drogę patrzysz.
Może są drogi bardziej potoczne. Lecz prostszych
nie ma. I w radość wspólną bogatszych.

Nie zagubię jasnej wstążki twego głosu
wśród pejzaży, które noc wikła i gmatwa.
Dokądkolwiek mnie drogi moje poniosą
świeci mi twoich oczu nieustające światło.

*) Patrz: E. Szuster — Na tropach sprawy Balcerka (Nr 24); F. Fenikowski — Stocznicy z „Młodej Gwardii” (Nr 25); W. Rymkiewicz — Dziewczeta z Czwartej Lewej (Nr 26); J. Danecki — O możliwościach młodzieży (Nr 26); M. Niemcewicz — Przesłanie tragiczne i zaustawiające (Nr 27); W. Rymkiewicz — Pierwsza podróż (Nr 27); F. Napiórkowski — My, najmłodszy (Nr 27).

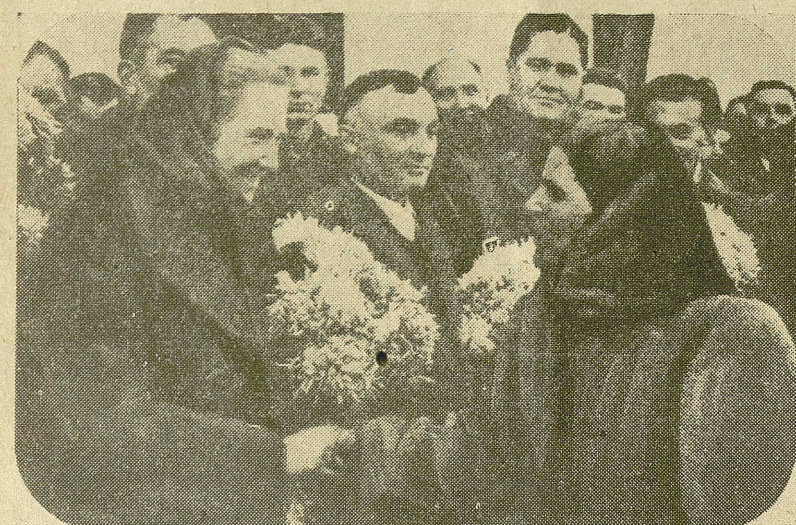


Foto J. K. Maciejewski

EDWARD SZUSTER

Obserwacje, uwagi, wnioski

NAJBARDZIEJ to nas na początku zainteresowały budynki. Przyjechaliśmy, na ten przykład, do kolchozu „Czerwona Ukraina” w sumskiej oblasti, czyli po naszymu w województwie



sumskim, a tam budynki zwyczajne. Dziwnie nam się zrobiło i zaraz pytamy tych kolchoźników: dlaczego sobie eleganckich mieszkań nie postawicie?

Tak zaczął opowiadać o swych wrażeniach z wycieczki do Związku Radzieckiego Teofil Piasecki.

Spotkanie nasze należało do jednego z tych częstych, przypadkowych spotkań ludzi, którzy oczekując na drodze na autobus skracają sobie czas pogawędką. Dopiero po paru minutach rozmowy o pogodzie dość kapryśnej w tym roku, Piasecki powiedział coś, co nasunęło mi przypuszczenie, że jest jednym z tych chłopów polskich, którzy niedawno odwiedzili Związek Radziecki. Rzecz jasna, że od tej chwili w rozmowie naszej nastąpił radykalny zwrot: ja ograniczałem się do roli słuchacza, a Piasecki opowiadał. Zaczął właśnie od tych budynków w „Czerwonej Ukrainie”.

— To znaczy kłopsko tam mieszka? — zapytałem z ciekawości. Piasecki potrząsnął przecząco głową.

— Żeby kłopsko, to nie można powiedzieć. Zwyczajnie, rozumiecie, mieszkali w wiejskich chatach. Czysto, porządnie, ale myślimy myśleli, że zobaczymy jakieś luksusowe budynki. No i właśnie pytamy się dlaczego, a oni — ci kolchoźnicy — powiadają: u nas produkcja na pierwszym miejscu, jak produkcję damy to i dochód będzie i o mieszkaniach się pomyśli.

Piasecki przerwał i spojrzał na mnie jakby chciał sprawdzić czy zrozumiałem całą sprawę. Jakie wrażenie odniósł w rezultacie tej lustracji — nie wiem; w każdym razie uznał widocznie za właściwe jeszcze dodać nieco wyjaśnień.

— Tam, w tej „Czerwonej Ukrainie” Hitler w czasie wojny ze szczerem ich zniszczył no i musieliśmy od początku gospodarzyć. Mieszkania sobie odbudowali tymczasowo, po staremu, a budynki gospodarskie i inne inwestycje na pierwszy plan poszły, od razu jak się należy nowoczesnie. I mądrze zrobili, nie tak jak to u nas miejscami bywa, że pierwsza rzecz — spółdzielczy domy sobie stawiać chcą. I co z tego? Ciężar dla gospodarki, a ona po staremu stoi i udziwniać go nie może.

Przysiedliśmy na ławce i zapalił. Piasecki zaciągnął się głęboko i opowiadał dalej z widocznym zainteresowaniem.

— A tam gospodarka rozwinięta jak się patrzy. U nas, można powiedzieć, takich widoków nie zobaczy. Pokazali nam w innym znów kolchozie pole buraków; było tego z dziesięć hektarów. I co powiecie? Ani jednego chwasta na tym polu, tak elegancko wypielone traktorem. No to i zbierają z hektara 400 metrów czyli kwintali, bo tak tam się metr nazywa. Ale najwięcej to mnie hodowla obchodziła, bydlę, bo ja, rozumiecie, przed wojną za szwajcara byłem w majątku, w Rokszycach. Wiecie gdzie Rokszycy?

Skinąłem potakująco co Piasecki przyjął z zadowoleniem.

— No właśnie. Nie można powiedzieć, nie ostatnia tam była obora i na bydlę to ja się znam. No to jak ustyszałem, że oni tam do 45-ciu litrów na dzień mają od jednej krowy to mnie ciekawość wzięła. Byliśmy akurat w sowchozie im. Lenina, też w sumskiej oblasti: było tam piękne. Krowa 850 do 900 kilogramów waży a doja ją cztery razy i taki właśnie udoj mają. Niemożliwa rzecz — powiedziałam tym oborowym, a oni na to: poczekajcie do udoju, zobaczycie.

Zaczekał, ma się rozumieć, choć nam już czas był odjechać. Prowadzą nas do obory, czwarta godzina była właśnie i na trzecie dojenie para Trzydzięci parę osób nas się tam zebralo z tej wyciecz-

ki a dojarka powiata: starczy dla was mleka od jednej krowy. No i rzeczywiście. Elektrycznie doili a myśmy patrzyli ile też krowa da. Ja na trzy krowy uważałem: jedena dała 11,5 litra, druga — 9,5,

spodniom po domach do garnków zaglądali, aż człowiekowi czasem wstyd było. Dobrze, że kolchoźnicy co kto chciał pokazywali i wcale się nie gniewali. Weszliśmy na ten przykład do chaty z jedną kobietą z naszej wycieczki, a ona zaraz pyta: obrazy u was na ścianie wiszą, znaczy się — wierzycie?

— Zona wierząca — powiada kolchoźnik — to sobie i obrazy powiesiła, a ja niewierzący jestem. Stara tam babka była i zaraz powiada, że u nich konstytucja taka, że państwo się do wiary nie wtrąca i każdy robi jak uważa. Aż mi się dziwno zrobiło, że taka stara kobieta konstytucję zna i objaśnia ją potrafi. Żeby to u nas ludzie tak dobrze znali swoje prawa...

— I obowiązki też znają jak należy — ciągnął Piasecki po krótkiej przerwie. — Do pracy, na przykład, wyganiać nikogo nie potrzeba. Każda brigada umawia się sama kiedy robotę zacznie, kiedy skończy. Rozumiecie, ludzie, że bez pracy marne życie: nie zarobisz — biedę klepał będziesz. Za to starzy co już są po sześćdziesiątce mogą do pracy nie wychodzić, bo emeryturę mają. Ale mało który starzy człowiek siedzi i nic nie robi,

trzecia znów — 10. Taka tam produkcja. Kolchozowe krowy — to samo.

Piasecki westchnął i pokłuszał głową. Widać było, że szczerze i mocno zazdrości ukraińskim kolchoźnikom wyników ich pracy.

— Dobrze sobie ludzie tam żyją — zauważyłem, a towarzyszy mój zrozumiał, że mam w tym względzie wątpliwości, więc z ożywieniem wyprostował się na ławce.

— Bardzo wspaniale żyją — oświadczył. — Niczego im nie brak do życia. Widzieliśmy przecie, bo nas przyjmowali i tu i tam, gdzie nam być popadło. Naród serdeczny i gościnny bardzo. Najpierw kolchoz czy sowchoz przyjęcie urządził a potem chodziliśmy do ludzi do domów, gdzie się komu spodobało i tam znów często walczyli. Po pierwszym dniu tośmy nawet urządzili, żeby najpierw gospodarstwo oglądać a potem dopiero do stołu siadać, bo jakby inaczej, to czasu na zwiedzanie gospodarki mogło braknąć. I na siebie też trzeba było uważać, bo przecież nie wypadło, żeby się delegat z wycieczki zabarł czy jak.

Uśmiechnął się Piasecki porozumiewawczo i przytaknął znacząco oko, potem opowiadał dalej.

— Drugi znów kłopot był z kobietami z naszej wycieczki. Niektóre tak były ciekawe, że go-

EDWARD POCHROŃ

OPOWIEŚĆ MATKI O DZIECIACH

NAJDROŻSZYM skarbem dla człowieka jest życie. Dane mu jest tylko raz i należy je przeżyć tak, by umierając móc sobie powiedzieć: całe życie i wszystkie siły oddałem najpiękniejszej sprawie świata — walce o wyzwolenie ludzkości. Te słowa jak nakaz i hasło swojego życia wpisała do pamiętnika młoda uczennica szkoły moskiewskiej. Te same słowa zostały wyrzeźbione w marmurze grobowca partyzantki radzieckiej Zoi. A ktoś nie wie w Związku Radzieckim, że ta celująca uczennica, a później bohaterka partyzantka, która prawdy o tych słowach Mikołaja Ostrowskiego dowiodła swoim krótkim życiem i śmiercią za wolność ojczyzny — jest Zoja Kosmodemiańska.

Wyzwolenie ludzkości — idea piękna, ale nielutna, wymagająca od człowieka bohaterstwa ofiarności i siły charakteru. Zoja Kosmodemiańska dobrze sobie z tego zdawała sprawę. Od najmłodszych lat przygotowywała się do współudziału w realizacji tej idei. Opowiada matka:

— Zoju, czemu jesteś taka zadowolona?

— Dostałam „celujaco” z chemii — odpowiada z niechęcią Zoja.

Na twarzy mojej odzwierciedla się takie zdumienie, że Szura nie może się powstrzymać i wybucha głośnym śmiechem.

— Martwi ci celujący stopień? — pytam nie wierząc własnym uszom.

— Zaraz ci wytłumaczę — mówi Szura za Zoję, która uparcie milczy — Bo widzisz, ona uważa, że na stopień ten sobie nie zasłużyła, gdyż nie umie chemii na „celujaco”.

Ten drobny szczegół wymownie świadczy o tym, jakie wymagania młodziutka Zoja stawiała wobec siebie samej.

„Wielkiej idei” uczyła się Zoja Kosmodemiańska na przykładach postępowej myśli ludzkiej, ludzi walczących o wolność ludzkości, na przykładzie postępowej literatury świata. Najgłębiej przeżyła, jak świadczy matka, losy M. Czernyszewskiego, wielkiego myśliciela rosyjskiego oraz historię komunistów paryskich. W jej dzienniku lektur spotykamy nazwiska takich pisarzy, jak: Żukowski, Karamzin, Puszkina, Lermontowa, Tolstoj, Dickens, Byron, Molière, Szekspir, Cechow, Majakowski, Gorki, Cervantes, Longfellow, Goethe, Sałtykow-Szczedrin, Stendhal, Balzac. O tym, jak Zoja reagowała i przyjmowała utwory tych autorów, świadczya jej uwagi na temat niektórych ksia-

żek. Np. o „Otellu”: „W „Otellu” widzimy walkę człowieka w imię wysokich ideałów prawdy, czystości moralnej i szczerości ducha. Tematem „Otelii” jest zwycięstwo prawdziwego, wielkiego ludzkiego uczucia”. Te książki i bieżące wypadki polityczne (wojna domowa w Hiszpanii, II wojna światowa) nauczyły dzieci L. Kosmodemiańskiej,

bo się przecież bez pracy przykry, no to chodzą do roboty i jeszcze do emerytury zarobek mają. Wcale inaczej to wygląda niż tu u nas przed wyjazdem poniekąd mówili.

— A co wam takiego opowiadali? — zapytałem z ciekawości ty-



nie zabił, bo Moskwa — miasto ogromne, ale nikt im chodząc nie bronił. A wiecie jaki tam ruch w Moskwie?

— Podobno bardzo duży — odpowiedziałem nie mając na ten temat żadnych własnych obserwacji i doświadczeń.

mi przestrogi jakich na pewno nie szczędził Piaseckiemu na drogę zbalamuceni lub pragnący innych zbalamucić sąsiedzi. Piasecki roześmiał się lekceważąco i machnął ręką.

— Różne budzą opowiadali. Takie na przykład, że kolchoźnikom nie wolno z kolchozu nigdzie wyjeżdżać i żeby łatwiej było upilnować, to w każdym kolchozie obowiązkowo ubranie przepisowego koloru nosić trzeba. A tam, rozumiecie, każdy ubiera się według gustu a jak wyjechać gdzie chce to jedzie. Na bazar, na przykład, jeżdżą. W jednym kolchozie, znaczy się buraki uprawiają, to każdy z tej brigady ma cukru dużo; w innym znów zboża więcej prowadzi, no to potem na bazarze sprzedają to co im zbywa a kupują co trzeba. Żadnego skrupowania nie ma, bo co kolchoźnik za dniówki dostanie to jego i może z tym co chce zrobić.

Mówili też, że nam swobodnie chodzić nie będzie można na tej wycieczce. Byli tacy co, uwierzyli i chcieli zobaczyć jak to jest.

W Moskwie, na przykład zaraz po przyjeździe dwóch kolegów na spacer się wybrało. Tyle że mało co

zabłądzili, bo Moskwa — miasto ogromne, ale nikt im chodząc nie bronił. A wiecie jaki tam ruch w Moskwie?

— Podobno bardzo duży — odpowiedziałem nie mając na ten temat żadnych własnych obserwacji i doświadczeń.

— Podobno bardzo duży — odpowiedziałem nie mając na ten temat żadnych własnych obserwacji i doświadczeń.

— Podobno bardzo duży — odpowiedziałem nie mając na ten temat żadnych własnych obserwacji i doświadczeń.

— Podobno bardzo duży — odpowiedziałem nie mając na ten temat żadnych własnych obserwacji i doświadczeń.

— Podobno bardzo duży — odpowiedziałem nie mając na ten temat żadnych własnych obserwacji i doświadczeń.

— Podobno bardzo duży — odpowiedziałem nie mając na ten temat żadnych własnych obserwacji i doświadczeń.

— Podobno bardzo duży — odpowiedziałem nie mając na ten temat żadnych własnych obserwacji i doświadczeń.

— Podobno bardzo duży — odpowiedziałem nie mając na ten temat żadnych własnych obserwacji i doświadczeń.

— Podobno bardzo duży — odpowiedziałem nie mając na ten temat żadnych własnych obserwacji i doświadczeń.

— Podobno bardzo duży — odpowiedziałem nie mając na ten temat żadnych własnych obserwacji i doświadczeń.

— Podobno bardzo duży — odpowiedziałem nie mając na ten temat żadnych własnych obserwacji i doświadczeń.

— Podobno bardzo duży — odpowiedziałem nie mając na ten temat żadnych własnych obserwacji i doświadczeń.

— Podobno bardzo duży — odpowiedziałem nie mając na ten temat żadnych własnych obserwacji i doświadczeń.

— Podobno bardzo duży — odpowiedziałem nie mając na ten temat żadnych własnych obserwacji i doświadczeń.



— Pewno że duży — zgodził się Piasecki. — Zaraz wam powiem. Liczyliśmy ile też samochodów przejeździe przez godzinę przed naszym hotelem. No i ile było, zgadnijcie?

— Czy ja wiem?

Piasecki spojrzał na mnie triumfująco.

— Tysiąc trzysta sześćdziesiąt osiem. Rozumiecie, tysiąc trzysta sześćdziesiąt osiem — powtórzył pragnąc mi dać ścisłe wyobrażenie o ruchu ulicznym w stolicy Związku Radzieckiego. — Dwieście dwadzieścia osiem samochodów na minutę. Aż liczyć było trudno.

— Zadowoleni jesteście z wycieczki? — zapytałem przytyłoczo, nieco tymi statystycznymi dowodami. Piasecki podrapał się po głowie.

— No a jak? Pewno. Zobaczył człowiek jak można żyć. Wiecie, na początek to chcieliśmy każdy drobny zobaczyć i do domu przywieźć. Ziarno, na przykład, specjalnie ktoś zobaczył, to zaraz przyszedł mu parę choć sztuk dał.

No to pierwszego zaraz dnia jakśmy z kolchozu wyjeżdżali, to w różnych wozkach naznaczyli nam że 4 metry różnego ziarna, a nie było wiadomo co z tym robić. Uciecha była, bo ludzie myśleli, że zaraz u siebie ziarna zaprowadzą. Ale potem to każdy zrozumiał, że nie ziarno najuważniejsze. Cóż z tego że buraki specjalne posadzi, jak ziemi maszynami nie uprawi, nawozu należycie nie da? Znamienię, chwastem zarosną bez tych traktorów do pielenia. Potem tośmy już nie brali ziarna. Tak wychodzi, że pierwsza rzecz jaką gospodarkę ustawić jak u nich jest. Bez tego po staremu wszystko zostanie i tylko człowiek będzie zazdrościł, że tam ludzie żyją po ludzku. Mądrze, swobodnie i dostatnio. Trudna sprawa.

Edward Szuster

O umocnienie spójni przez handel

(dokończenie ze str. 1-szej)

Trzeba więc umacniać gospodarkę PGR, zakładać coraz więcej i więcej nowych spółdzielni produkcyjnych i umacniać gospodarkę w starych, ale trzeba też jednocześnie, budując mosty prowadzące do spółdzielczości produkcyjnej, podnosić towarowość drobnych i średnich gospodarstw chłopskich.

A mamy do tego wiele dzwigni: propagandowych (wyjaśnianie przyczyn opóźnienia się rolnictwa oraz środków prowadzących do ich usunięcia), administracyjnych (przymusowe dostawy zboża, ziemniaków, mięsa i mleka — których słuszne, klasowe stosowanie ma ogromny wpływ na wzrost globalnej a zwłaszcza towarowej produkcji naszego rolnictwa) i ekonomicznych (stosowanie bodźców ekonomicznych, zachęcających do podnoszenia towarowej produkcji w rolnictwie).

Takim właśnie skutecznym — bo dostosowanym do charakteru drobnotowarowego gospodarstwa, które zaspakaja swe potrzeby nie przez sprzedaż swej zdolności do pracy i siły roboczej (jak klasa robotnicza), ale przez sprzedaż na rynku wyprodukowanych w swym gospodarstwie towarów — bodźcem ekonomicznym jest właśnie wolna sprzedaż nadwyżek.

Powiązanie dopiero tych trzech dzwigni: propagandowej, administracyjnej i ekonomicznej i ich prawidłowe, klasowe zastosowanie w terenie da spodziewane rezultaty i podniesie niewątpliwie, po pewnym rzecz jasna czasie, na wyższy poziom towarowości drobnych i średnich gospodarstw chłopskich.

Dalszą sprawą są zasady i formy, w których wolna sprzedaż ma się odbywać, jaki powinien być udział w tym handlu Gminnych Spółdzielni i Oddziałów Zaopatrzenia Robotniczego itp. Do dyskusji na ten ogromnie żywoty i niesłychanie ważny temat zapraszamy działaczy terenowych i chłopów mało i średniorolnych, a zwłaszcza korespondentów chłopskich, którzy z taką trafnością roztrząsali te zagadnienia w czasie Krajowego Zjazdu Korespondentów Chłopskich.

Stanisław Cieślak

Za drutami kolczastymi...

(dokończenie ze str. 2-giej)

Okramiem stojący oficer angielski czytał powolnym i przesadnym głosem. Pod masztem błękitno-czerwono-białej flagi dziękowano nam za naszą wytrwałość w służbie wojskowej i zachęcano do wstąpienia w szeregi armii Jego Królewskiej Mości Jerzego VI.

Byliśmy wszyscy zdecydowani na powrót do ojczyzny.

Oficerowie odjechali wreszcie. Nie namawiano nas więcej na pozostanie w koloniach. Natomiast raczej żywiołowo skurczyli się do niemożliwie mikroskopijnych norm. Odebrana nam została „godność alianckich żołnierzy” wraz z całkowitym zahamowaniem dostaw coca-coli i papierosów „Capstan”. Paliliśmy więc greckie „Papastratos” oczekując rychłego odjazdu do Anglii, gdzie miała nastąpić oficjalna demobilizacja.

Wracając raz z miasteczka Ismaili zauważyłem Arabów ciągnących barki przeładowane bawełną i trzciną kukurą. Na tle wysokopięnnych daktylowców szli czarni i wynędzniali starcy, szepcząc „Kismet” i młodzieńcy, którzy spoglądali wrogo na mój angielski mundur.

Nad nami niebo ciemniało i zrywał się ostry hamsin. Arabowie przypadli do ziemi. „Allah! Allah!” — krzyknął kulejący starzec, prawie nagi, ze strzępem łachmanów na wysychających jak trzcina biodrach.

— Kismet — powtórzyli starcy. Młodzi z przekleństwem zarzucili na plecy jarzma lin i poczęli przedzierać się przez burzę piasku. Wtedy starcy podnieśli się i ruszyli za nimi. Widziałem ich, jak oddalali się stając na gruchach zeschłego piasku. Słychać jeszcze było odlewające pokrzykiwania: Allah! Aschan!

Na chwilę nieprzenikniona płachta piaskowej lawy zasnuła ich kołyszące się w rytm baret, zgarbione i czarne postacie.

Nagle jeden z robotników ciągnących barkę przystanął, rzucił na ziemię grubą powróż i cisnął we mnie kamieniem. Trafił w skroń, pociemniało mi w oczach i upadłem. Gdy odzyskałem przytomność zobaczyłem mój beret z białym orłem w ręku przewoźnika i jego jakby przepaszający gest.

Ponad głową Araba dostrzegłem druty kolczaste mego obozu, jakby mi wdział po raz pierwszy.

Zbigniew Zalewski

*) L. Kosmodemiańska: „Opowieść o Zoi i Szurze”, tłum. z ros. E. Stobodnikowa, oprac. liter. E. Wigdorowej. M.O.N. 1951, str. 288.

